Nr 13 (1576). Warszawa, 1 kwietnia 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Przestroga dziejowa.

Towarzystwo Kultury Polskiej na ogólnym zgromadzeniu delegatów wszystkich swych oddziałów w d. 26 marca przedstawiło obrachunek swej pracy za ubiegły, czwarty rok sprawozdawczy, — obrachunek pracy i syntezę plonów.

„Działalność Towarzystwa, — czytamy w *Pamiętniku Zarządu T. K. P.*, [1]) tej jedynej w kraju naszym instytucji oświatowej, opartej na siłach samego społeczeństwa, — zarysowała się, na tle życia zbiorowego jasno, śmiało, wyraziście. Wszystko, co było puste, chwiejne, trwożliwe — odpadło. Pozostali ludzie świadomi swego posłannictwa i przejęci jego powagą. Idą mrocznym gościńcem kultury i rozpalają ogniska, aby je rozwidnić. Jedne już płoną, inne zaledwie tleją, niektóre gasną z braku paliwa. Cokolwiek bądź mielibyśmy sobie do zarzucenia jako działacze, — niewytrzymałość, niepraktyczność, nieprzystowanie środków do zamiarów, rozdrabianie sił w wielości celów, rozpraszanie energji na mnóstwo wątłych poczęć, wezbranie indywidualizmów, rwących odśrodkowo do przedsięwzięć na własną rękę, krótkie rzuty a długie namysły, trudność skupienia wysiłków w jednym dziele większej i trwalszej miary; jakiekolwiek byłyby nasze błędy, słabości i złudzenia — jedno pozostaje faktem niezbitym, prawdą radosną dla przyjaciół, nienawistną dla wrogów, przykładem dla teraźniejszości a rękojmią wpływu na przyszłość: — dążymy naprzód!"

[1]) P. *Kultura Polska*, zeszyt Nr. 4.

Istotnie, pięć tysięcy ludzi, związanych w jedną organizację, dążących pod sztandarem kultury — to siła w naszym kraju doniosła: pięć tysięcy osób, ujętych nie w karby bractwa pod rządem ambicji jednostkowych, ale wewnętrznie zespolonych braterstwem współdziałania; pięciotysięczny zastęp samodzielnych obywateli, pracujących w samodzielnym zrzeszeniu! A każda jednostka z owego zastępu, to nie kółko bezwolne w machinie rutyny, ale ognisko ruchu, ośrodek sił promieniotwórczych, zdrój pomysłowości; każda złożyła dowody odwagi i życiowego rozpędu przez wyłamanie się z zastoju środowiska; każda stoi w ogniu walki i szeregiem ofiar okupywać musi prawo do własnego rozwoju tudzież chęć do służenia innym.

Dotychczas, ogniska oświatowe kultury, w postaci 40-stu oddziałów — rozrzucone po kraju, gubiąc się w szerokiej ciemności, tworzą jedynie dokoła siebie ogniste pierścienie łun, będące jakoby odbiciem na poblizką okolicę tego pożaru myśli, wysiłków, zmagań się i uczuć, jakie goreją w duszy nielicznej garstki bojowników, osaczonych przez upór wstecznictwa. Dotychczas mamy zaledwie punkty, świecące w mroku; ale dziś już powiedzieć możemy, że punkty te staną się drogowskazami, znaczącymi kierunek naszego rozrostu, naszej cywilizacji i zdobywczości. Niech tylko owe pierścienie ogniste nieco poszerzą się i wzniosą, niech dalekie ogniska splotą się węzłami promieni, wtenczas na olbrzymie niziny społeczne światło padnie z góry: od powszechnej zorzy prześwietlają tumanione sumienia i obudzi się nareszcie z pęt wyzwolona myśl polska, aby zatoczyć, jak ongi, swobodne, bujne koło nad ziemią Ostrorogów i Modrzewskich!

Jeżeli wszakże, nie poprzestając na ogólnym obrazie dorobku oświatowego T-wa Kultury oraz wykreśleniu perspektyw jego roli na przyszłość, sięgniemy okiem w układ i procentowy względem siebie

stosunek rozmaitych żywiołów społecznych, biorących udział czynny w pracy T-wa, to uderzy nas kontrast znamienny: przeciwieństwo coraz rosnącej przewagi liczebnej szerokich warstw pracujących wobec nikłej i coraz niklejszej działalności zamożnych klas ukształconych. A dodać trzeba, iż po stronie ludu pracującego stoi przewaga nietylko siły liczebnej, ale i energji moralnej. Gdy oddziały, złożone ze sfer uprzywilejowanych, wiodą żywot ospały, bierny, podsycając wciąż gasnący ruch jakoby tylko pod przymusem, z obowiązku, to przeciwnie—te placówki, w których pracuje sam lud pod wodzą garstki ideowców, rwą się poprostu do działania, nie szczędzą ofiar, mnożą potrzeby, i niemal z pod ziemi dobywają środki ku ich zaspokojeniu. Robotnik, włościanin, rzemieślnik, od ust odejmują sobie strawę, aby podołać kosztom odczytów, bibljotek, ochronek, dzieląc się swą ubogą krwawicą z równie ubogim prelegientem, który z dalekiego nieraz miasta przyjeżdża za zwrotem jedynie kosztów kolejowych. Demokratyczna garść inteligencji ideowej, oddana bezinteresownie służbie społecznej i coraz liczniejsze zastępy ludu, — oto istotni pracownicy u warsztatu kultury naszej, oto jedyne środowisko, w którym kultura jest potrzebą żywiołową, nie zaś zabawką lub przymusem, a praca dla rozwoju kultury staje się głęboko zrozumianym interesem osobistym, pomnożonym przez olbrzymi współczynnik interesów całego społeczeństwa.

Żywioły obojętne, ciężarem kamiennej apatji kładące się na fali odrodzenia narodowego, lub co gorsza — wrogie, wręcz zwalczające dążności wyzwoleńcze ludu, potęgują świadomie lub bezwiednie niebezpieczeństwo tego rozpaczliwego stanowiska, na które zepchnęła nas historja. Żywioły, które przeciwią się umysłowej i kulturalnej samodzielności ludu, własnymi rękami ściągają na naród swój straszny grom nieszczęścia, który już po dwakroć strzaskał podstawy najżarliwszych, najgłębszych wysileń naszego patryjotyzmu: pierwszym nieszczęściem było obdarzenie chłopów wolnością *z obcej ręki*, drugim zaś obdarowanie ich ziemią — także *z obcej ręki*. Zgubne następstwa tego ostatniego aktu trwają dotychczas w postaci klina niezgody między mniejszą a większą własnością rolną, zasadniczo paraliżując rozwój gospodarczy obu.

Czy przeszłość mało nam dała bolesnej nauki? — moglibyśmy śmiało powtórzyć to pytanie za Świętochowskim. Dziś lud nasz posiada już prawa obywatelskie, tych więc, — ofiarować mu nie możemy, ale nie posiada kultury, którą wedle sił dać mu powinniśmy. Wsłuchajmy się szczerze i pilnie w głos sumienia narodowego, będący głosem żalu i zgryzoty, i baczmy, by przestroga dziejowa, wysnuta z tragicznych doświadczeń przeszłości nie przebrzmiała dla chwili obecnej bez skutku. Pomyślmy, że to ostatnie opieszalstwo zemściłoby się stokroć okrutniej na losie ojczyzny, niżli tamte oba akty niesprawiedliwości społecznej, razem wzięte. Ongi bowiem, przez niedopuszczenie ludu do uczestnictwa w prawach obywatelskich, przywiedliśmy do zguby państwo, poderwawszy równowagę w układzie i harmonji jego sił społecznych. Dziś, atoli, nie dopuszczając do ludu światła, tłumiąc, przez ten sam ślepy egoizm kastowy, samodzielność duchową włościan i robotników, wystawiamy na szwank rzecz droższą i większą: narażamy życie narodu, to jedyne, co nam z wielkości dziejowej pozostało.

Tysiące głów z ludu zwraca się ku inteligencji z żądaniem światła i przewodnictwa na drodze kultury i postępu. Tysiące rąk twardych od pracy chwyta za pochodnie, wznosi je wysoko i zapaliwszy od ogniska idei, śpieszy wracać znowu w tłum, w niziny, aby zapałem i wiedzą dzielić się z tymi, których nędza przykuła do dna niedoli. Niebawem wślad za tysią-

ECHA PRAWDY.

Kanonizowani.

Księztwo Poznańskie jedynym bodaj na ziemi naszej jest zakątkiem, gdzie jeszcze odbywać się może kanonizacja świętych. W poczet wybrańców niebieskich niedawno zaliczono tam dwu świeżo zgasłych mężów, „pełnych ducha bożego": ks. ks. Jażdżewskiego i Wawrzyniaka. Heroldem tej sanktyfikacji na Warszawę stał się *Kurjer Warszawski*, organ niewątpliwie *rerum sacrarum peritus*, wie bowiem nawyrywki, gdzie jaka msza się odprawia i kto ją celebruje. Jemu to, jak ongi zacnej oślicy Balaama, przypadła w udziale zaszczytna misja zwiastowania niewiernym prawdy objawionej. Prawda ta wymierzona jest całkowicie przeciwko nam, postępowcom i, spadając z wysokości nieba, ma zetrzeć nas na proch.

O cóż chodzi?

Chodzi o to, że koła postępowe, dostrzegając upadek samodzielności kulturalnej ludu polskiego w Poznańskim, stwierdzając kompletny zanik na ziemi wielkopolskiej oryginalnej literatury, nauki, sztuki, — zanik tych właśnie dziedzin twórczych, które jedynie zdolne są zapewnić odrębność duchowi narodowemu, — widząc słowem, jak Poznań wślad za zaborem politycznym ulega zaborowi kulturalnemu przez Prusy, — wystąpiły z energicznym wezwaniem do pracy nad wzmocnieniem ojczystej kultury na drogach świeckiego postępu i wolnej myśli. Wznieśliśmy hasło demokratyzacji kultury, jako jedynej rękojmi utrzymania bytu narodowego. Żądaliśmy i żądamy, aby ośrodek polityki polskiej oparł się mocno i szeroko o ziemię ludu, o chaty chłopskie, o polskie warsztaty robocze. Tymczasem kierunek polityki owej grawituje wciąż z uporem śmiertelnego manjactwa w stronę Berlina i w stronę Rzymu. A na straży tego kierunku, który możnaby nazwać *kierunkiem zguby narodowej*, stoi przedewszystkim *duchowieństwo poznańskie*. Poddaliśmy je tedy krytyce spokojnej, ale surowej. W odpowiedzi na to z obozu wstecznego huknięto ku nam, jakby z samopału, dwoma naraz nazwiskami: „A ks. Wawrzyniak? a ks. prałat Jażdżewski!?"

Co się tyczy tego ostatniego, to powtarzamy raz jeszcze: naród niema powodu do żałoby po nim. Niech raczej cesarz Wilhelm śpiewa po nim egzekwie przez wdzięczność dla szczodrego posła, co skarbonie monarszej nie pożałował krwawicy swego ludu. Działalność zaś ks. Wawrzyniaka wydała obfite owoce na polu ekonomicznym, — chętnie to przyznajemy, — ale niestety żadnego nie dała plonu w zakresie narodowym i kulturalnym. Był on organizatorem kapitału drobnych posiadaczy, ale nie był organizatorem ducha narodowego. Dźwigał on kooperatywy, spółki i stowarzyszenia, ale poniżał lud, który się ku nim garnął.

cami wstaną miljony. Praca w usłudze oświaty ludowej staje się potrzebą żywiołową; tymczasem, śród inteligencji, jednostki, poczuwające się do pracy tej, dadzą się zliczyć nie na setki, ale na dziesiątki.

Pomnóżmy tedy, w imię pracy ideowej, swe szczupłe dotychczasowe kadry; w imię demokratyzmu, w imię kultury i postępu rozszerzmy, uwielokrotnijmy siły swe w sto, w tysiąc razy!

Kto przez tydzień zajmował się oświatą ludu wiejskiego, ten spostrzegał przed sobą pole pracy na cały rok. A kto pracował w ciągu roku, ten dojrzał wokoło siebie pole zadań na całe życie.

Nie lekceważmy tych zadań zamykaniem na nie oczu, jeśli nie chcemy zaprzepaścić wiekowego bytu narodu.

Tysiące rąk z pośród ludu wyciąga się ku nam: nie odtrącajmy-ż ich od siebie, nie cofajmy się przed ich niemo-rozpaczliwym wołaniem o światło!

Wszak w rękach tych tai się przyszłość naszej ojczyzny!

Przesilenie.

Przesilenie, którego pierwszą fazą miała być dymisja premiera i tryumf Rady Państwa w osobach pp. Durnowo i Trepowa, weszło znagła w drugą, odmienną fazę, po której niebawem nastąpi i trzecia...

P. Stołypin, jak Proteusz obalony, nabrał sił nowych w zetknięciu ze „sferami", poczym powrócił na stanowisko z berłem dyktatorskim w dłoni i ściągniętą groźnie brwią; aplikując natychmiast do dwóch przywódców opozycji w Radzie Państwa rygor przymusowego „urlopu", zawiesił na trzy dni posiedzenia obu Izb, aby przeprowadzić sposobem doraźnym, na mocy § 87-go, projekt ziemstw w gub. zachodnich, będący bezpośrednim powodem kryzysu.

Lecz oto kryzys rozpoczął się nadobre w tym samym punkcie, gdzie miał się skończyć. Jeśli w pierwszej swej fazie przesilenie miało charakter intrygi czysto „pałacowej", to dziś rozrasta się ono do rozmiarów kryzysu konstytucyjnego, wskutek ostatnich zarządzeń o pozorach formalnego zamachu stanu.

Gdyby zresztą ktoś przywiązywał wagę do formalnej logiki politycznej na ziemiach rosyjskich, ten by się zgubił beznadziejnie w lesie sprzeczności i pogmatwań całego tego „kryzysu". Bo zważmy tylko: Izba Wyższa odrzuca projekt, uchwalony w Dumie; premier wypowiada jej walkę, wygrywa i projekt wprowadza *par force*. Tu jednak z kolei buntuje się Izba Niższa, prezes jej podaje się do dymisji, a spora większość uderza na rząd, nawet ci, co jak Puryszkiewicz, Szulgin, von Anrep tworzyli straż przednią rządowego nacjonalizmu... Natomiast Rada Państwa korzy się wobec dokonanego czynu, a nawet nie szczędzi mu aplauzu, jako manifestacji władzy zwierzchniej.

Zatym, w ciągu dni paru, front polityki państwowej wykonał kilka obrotów i załamał się kapryśnie, przyczym jedno wydaje się być jasne: z obu ciał prawodawczych staje do walki z rządem to, które jeszcze coś nie coś z aspiracji społecznych posiada na podstawie ułomnej ordynacji z d. 16 czerwca; zaś po stronie władz wykonawczych staje Rada Państwa, będąca w gruncie rzeczy miejscem spoczynku dla wysłużonych biurokratów i chwilową kwarantanną ambitnych dygnitarzy; z tej strony żaden akt „przełomowy" p. Stołypinowi nie grozi, ale grożą mu stamtąd bardzo wytrawne i czujne a nieżyczliwe oczy...

Inaczej z Izbą Niższą. Nie można wprawdzie brać *à la lettre* pogróżek październikowców, ani spodziewać się nastroju wzniosłej solidarności pod kopułą Taurydzkiego pałacu... Niemniej uderzającym jest faktem, że różne wpływowe koterje w najlepszej będące z rządem komitywie — ozwały się nagle głosem protestu, skoro dotknięto i sponiewierano w nich godność przedstawicieli narodu. O tę godność ujęli się nawet ci, co nieraz ją sami poniewierali, wespół z p. Puryszkiewiczem... Natomiast z ław skrajnej lewicy ozwała się znowuż echem zgrzytliwym opłakana tradycja z r. 1906, kiedy to skrajna lewica, w przeddzień Wyborgu, bojkotowała Dumę na wyścigi z czarną seciną. Jeśli i dziś „grupa pracy", jak to oświadczył

Zwalczał on wszelkie przejawy samostarczalności ludu, nie dopuszczał do rozwoju jego własnej samozaradnej inicjatywy. Był to wybitny okaz despotyzmu oświeconego, który potężnymi rękami pragnąłby urabiać materjał ludzki, jak miękką bezwolną glinę. Nie taki jest ideał naszych czasów, i nie na tej drodze dokonać się może jego realizacja. Wedle naszych przekonań, każda jednostka powinna działać świadomie i twórczo; każda w duszy swej posiadać musi samowiedzę czynów swych i celów. Ojczyzna żyć winna w sercu każdego swego syna, nie zaś tylko w sercach wybrańców. Ks. Wawrzyniak był zasady tej wszechstronnym zaprzeczeniem, jako wróg demokratyzmu i usamodzielnienia mas, przeto też hołdu składać mu nie będziemy, bo prawo do hołdów i wdzięczności w narodzie mają ci tylko, którzy do podniesienia ojczyzny dążą przez podniesienie obywateli, nie zaś przez przykucie motłochu do rydwanu własnej dumy i osobistej potęgi. *Kur. Warsz.* może z właściwą sobie pobożnością przyozdabiać skronie ks. Wawrzyniaka w aureolę świętych; aureola ta nie będzie jednak glorją mistycznego światła, ale obrączką z amerykańskiego złota 56-ej próby.

Uśmiech Sfinksa.

Przejrzawszy rewelacje *Now. Wremieni* o warszawskich swoich kolegach, Sfinks petersburski uśmiechnął się i rzekł do klęczącego przed nim p. Filewicza:

— Bardzo to pięknie i chwalebnie, że wskazano tu zakulisowe a groźne dla nas tajniki teatrów Prywiślinia, a już niezmierną jest zasługą wykrycie nieprawnych czynów Kazimirycza i karygodnych pobłażań osób, na wysokim stojących stanowisku — ale fatalnym był błędem ten motyw końcowy z wyjazdem p. Kaweckiej, po której nikt jakoby nie obejmie lutni.

P. Filewicz zastanowił się i stropił.

— A dlaczego? spytał, wznosząc ku Sfinksowi pojętne spojrzenie.

— Bo niepotrzebnie zbudzony żywioł rywalizacji całe to dzieło może na szwank wystawić! Jakże można było tak nieopatrznie narazić się p. Messalównie, która zalicza się pono do pierwszorzędnych potęg nietylko pod względem wokalnym.. Zauważ proszę, jakie mogą być — zwłaszcza teraz, w dobie kryzysów ministerjalnych,—skutki niechęci ze strony takiej gwiazdy i jej satelitów... Pomyśl, co z tego wyniknie!

P. Filewicz pomyślał — poczem uderzył się w czoło i pobiegł szukać rady u p. Mienszykowa — a Sfinks petersburski patrzał wślad za nim, uśmiechając się bardzo zagadkowo.

Rzym, Byzancjum i Polska.

Setki lat minęły od czasu wielkiej schyzmy, która rozszczepiła świat chrześcijański na dwa odłamy: zachodni i wschodni. Zmieniły się warunki, upadały,

jej przedstawiciel, uważa Dumę wogóle za *quantité négligeable* i radzi nie troszczyć się o nią — tedy ścisłą tworzy harmonię z p. Stołypinem, bo i on podobne o Izbie Niższej ma wyobrażenie.

Na polu swoistej polityki rosyjskiej takie oto paradoksalne akordy powodują różne niespodzianki i w ostatnim wyniku wychodzą na korzyść *reakcji rządowej.*

Prócz tej ostatniej istnieje wprawdzie jeszcze reakcja społeczna, tak samo, jak obok nacjonalizmu p. Stołypina istnieje nacjonalizm Szulgina i von Anrepa — ale znaczenie obecnego kryzysu polega właśnie na tym, że te dwa rodzaje reakcji nie są ze sobą w zgodzie, zaś celem całej opozycji — o ile w życiu rosyjskim może być jakiś cel określony — jest stworzenie takiego *modus vivendi,* w którym by najskrajniejsza nawet reakcja wdrażała się do metod konstytucyjnych i legalnych — wobec inorodców — bezprawi.

I kto wie, czy nie najlepiej utrafił w ten sens p. Szulgin, mówiąc, że tylko ci mogą szczerze i skutecznie zwalczać dyktaturę p. Stołypina, którzy poparli projekt ziemstw zachodnich w porządku prawodawczym, ale nie chcą go znać w dzisiejszej jego postaci. Od nich też — w ostatnim wyniku — zależy przebieg całego przesilenia, które do żadnych nas nie uprawnia złudzeń i żadnych doraźnych nie rokuje nadziei.

L. Gorecki.

O dzikiej parcelacji.

Niewesołe myśli nasuwa wiejski „nowopolski" krajobraz.

Zniknęły bory i zielone dąbrowy. Nieprzejrzane łany pól i niw mazowieckich poszatkowały miedze, krzywe i kręte dróżki, przy których czernieją naprędce sklecone budy — domostwa.

To nasza polska rodzima parcelacja działa. To jej zwycięski pochód znaczy swoje ślady; jej to dorobek ostatnich kilku lat.

Głód ziemi potężnieje z każdym rokiem, wzmógł się zaś specjalnie w okresie kryzysu w przemyśle w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, kiedy to napłynęła do kraju powrotna fala emigracji.

W olbrzymich zakładach fabrycznych za Oceanem zatrudnieni, obeznali się wychodźcy nasi ze skomplikowaną częstokroć maszyną, której obsługę mieli sobie poruczoną, nie nauczyli się jednak samodzielnie nic wytwarzać. Byli tam za Oceanem drobnymi trybikami wielkiego fabrycznego organizmu, od którego oderwani nie przedstawili dla naszego przemysłu żadnej realnej wartości.

Ta część emigracji naszej, która przed kryzysem przemysłowym uciekała z Ameryki, na drugiej półkuli z handlem i spekulacją się nie zetknęła. Przedsiębiorczość, rzutkość i wyrobienie handlowe w tej masie emigrantów naszych w nader słabym wzrosły stopniu.

Nic więc dziwnego, że znalazszy się w dawnych warunkach, po powrocie do kraju emigrant, z pochodzenia włościanin lub parobek, z zamiłowania i wiekowych tradycji rolnik, na roli zapragnął pracować. Po zakosztowaniu amerykańskich swobód i stosunków, emigrantowi naszemu praca na cudzym zagonie wydawała się ponad siły i możność. Pierwszą więc odruchową myślą było pracować na swoim i dla siebie. Zebrany za Oceanem niekiedy znaczny kapitalik dodawał bodźca i otuchy.

Natrafiła zaś powrotna fala emigracji na lata dla rolnictwa pomyślne, na lata urodzaju i na ceny za zboże wysokie.

Po erze strejków fabrycznych, część, dotąd w przemyśle lokowanych kapitałów, przezornie przeniosła się na wieś, dając silniejszy impuls gospodarstwu folwarcznemu, śrubując wysokie już ceny ziemi do nieznanych dotąd norm.

Na nielada trudności natrafił chłop polski powracający z za morza. Niezrażony niczym, zbrojny w dolar, przypuścił szturm do kieszeni dziedziców, kusząc niepraktykowaną wprost za ziemie ceną.

I odtąd datuje się orgja parcelacyjna w kraju. Zaczęto więc najpierw parcelować to, co do uprawy zdatne, z czego rolnik — nabywca może mieć za swój grosz krwawo zarobiony użytek. W szale parcelacyjnym, w zapale kupna, zaczął chłop nabywać i prze-

---

tworzyły się państwa, świat wszedł oddawna na tory kultury świeckiej, kwestje i zatargi kościelne zeszły na plan drugi — ale Rzym wciąż jeszcze żywi nadzieję nawrócenia bizantyńskiego Wschodu na łono prawowiernej religji i wszelkimi dąży do tego celu drogami, szląc do Rosji sprawnych emisarjuszy, by poczynić szczerby we wschodniej herezji... Jakkolwiek rzymski katolicyzm z zasady nie jest tolerancyjny dla wyznań obcych i dla idei świeckich, co głosi wyraźnie Syllabus Piusa IX-go, jednakże zwykł korzystać skwapliwie z wolności sumienia wdrożonej na mocy ustaw konstytucyjnych krajów heretyckich, jak Anglja, Stany Zjednoczone, Szwajcarja i t. d. To też nic dziwnego, że ukaz tolerancyjny w Rosji z r. 1905 otworzył przed Watykanem szerokie perspektywy — i nie myślimy go potępiać za to, że pośpiesznie począł z tych „swobód" korzystać...

Natomiast musimy stanowczo zaprotestować przeciw tym manewrom Watykanu, które zupełnie dowolnie i rozmyślnie chcą nawiązać sprawę polską do specyficznych interesów Kurji, co w rezultacie skrupia się zawsze na Polsce i Polakach... Rzeczą jest bowiem jasną, że dotknięty w swych interesach potężny kler prawosławny, zwraca ślepą swoją nienawiść i zajadły odwet w kierunku najmniejszego oporu — i zamiast uderzać w Rzym — uderza w Polskę...

Polska była zawsze pono „przedmurzem chrześciaństwa", co jej nie wyszło na korzyść, ale w chwili obecnej mniej niż kiedykolwiek jest pożądanym, byśmy bez oporu wzięli na się rolę, narzuconą nam przez rzymskich intrygantów, i obok różnych plag, co nas trapią, dostawać mieli cięgi, nie dla nas przeznaczone...

A na to znów się zanosi. Kolonje polskie w Petersburgu i Moskwie miały ostatnio dwa znamienne zajścia: bohaterem pierwszego jest pewien „istinny" katolik rosyjski, ks. Storożew, a w drugim rolę główną odegrał ks. Wierciński *vulgo* Wjerzinsky, Niemiec z Hanoweru, zręczny agitator rzymski, podobno nawet jezuita, aczkolwiek konsul niemiecki w Moskwie nie daje temu wiary.

Zatarg jest charakterystyczny dlatego, że „istinnyj" katolik traktuje parafian polskich tak samo, jak Milewski II traktuje szlachtę litewską, zaś ks. Wjerzinsky w sposób kunsztowny łączy interes katolicki z miłością niemczyzny szczerego *Kulturtraegera.* Obaj doznali przeszkód od członków swojej parafji, gdzie pod nazwą katolików skupiają się głównie Polacy. Zajścia mogą na razie nie pociągnąć za sobą poważnych następstw, ale czas już zrozumieć i obwieścić, że interes narodowy polski nie ma nic do starych porachunków między Rzymem i Byzancjum i że kolonie polskie w Cesarstwie winny skupiać się dokoła idei narodowej świeckiej, zamiast poprzestawać na formie wyznaniowej, co daje powód do wielu nieporozumień... Pojęcia: Katolik i Polak — należy raz na zawsze ustalić i rozgraniczyć, bo w pierwszym zawiera się szeroki i pstry kosmopolityzm, a w drugim — zwarty zespół interesów, ideałów i cech narodowych.

płacać to, z czego nie mógł żadnego wyciągnąć zysku.

Komitety ochrony leśnej, jak na nieszczęście, zezwalać jęły na wycinanie lasów na przestrzeniach przeznaczonych na parcelację, nie wchodząc w jakość tych gruntów, nie troszcząc się, czy grunt ten poleśny do uprawy się nadaje.

Wnet zgraja spekulantów parcelację w swoje ujęła dłonie i na niezdrowych oparła ją zasadach. Na nieużytkach, lotnych piachach, bagnach i moczarach rosnące lasy padły pod siekierą. Ziemią porżniętą na „plany" zawładnął za wysoką bajecznie cenę chłop — kolonista.

Czyżby nie rozumiał on, chłop polski, rolnik z dziada pradziada, że nabył piach lotny lub ziemię „ciekięć". Czyżby praktyczne gleboznawstwo było mu zupełnie obce? Nie, on wie, co kupił, ale zamiera logika jego wobec żądzy posiadania ziemi. Zmysł krytyczny tępieje!

Zresztą patrzy on, chłop, na ziemię, nie jako na źródło swoich dochodów, ale jako na nabywczynię pracy rąk jego i jego rodziny. Ideja renty gruntowej jest mu przeważnie obca i z niej często nieprzezornie kwituje.

Marzy mu się, że praca jego w nabytą włożona ziemię sowicie mu się opłaci, że plon zebrany wyżywi jego i rodzinę. Widzi on osadę swą kwitnącą tam, gdzie dziś pnie drzew ściętych, gdzie po przez resztki mchów i igliwia prześwieca bury piach.

Ileż stąd gorzkich zawodów, ileż zmarnowanych nadziei chłopskich!

Zagospodarowanie nieużytków nawet wtedy, gdy zasadniczo jest możliwe, wymaga olbrzymich wprost nakładów pracy, kapitału i... nauki fachowej. Tych dwóch ostatnich nasz chłop nie posiada, o nauce fachowej niema co i mówić, a pieniądz wydał na kupno parceli. Pozostaje jedyny ratunek w pracy, w pracy rzadko celowej i skoordynowanej, w pracy, której ziemia z nowiny wydobyta, lasowi odebrana — opłacić nie może.

I marnuje się bezużytecznie, na marne idzie ta zaciekła, ślepa, chłopska praca, a szkoda jej. Rozumnie i celowo użyta przyczyniłaby się do podniesienia dobrobytu pracownika, do pomnożenia bogactw krajowych.

I żyje taki chłop — kolonista na swojej chudej parceli, marnując swą pracę, żyje jak nędzarz w swej budzie ze starych spróchniałych bali i desek z rozebranych budowli wzniesionej, wieczny głód mrąc razem z dziećmi i żoną. Aż znów nastanie moment, że rzuci rodzinę, grunt i za Ocean powędruje, odebrać to, co nieopatrznie w nieużytkach utopił. Zarobi na „szyfkartę" dla żony i dzieci, sprzeda grunt nowym łatwowiernym i tym razem na dobre, na zawsze, z kraju wywędruje.

I parcela pójdzie z rąk do rąk, ubożąc swoich posiadaczy.

Olbrzymią, niepowetowaną szkodę czyni krajowi bezplanowa, przez spekulantów prowadzona, parcelacja. Bank włościański nie do naszych przykrojony warunków, złemu nie zapobiega. Koniecznym jest poza istniejącym bankiem stworzyć instytucję, któraby sprawę parcelacji w swoje ujęła dłonie, którąby rozkolonizowała to, co się pod pług nadaje, którąby z dziką krótkowzrocznością nie trzebiła resztek naszych lasów. Aleć pono instytucja taka naruszyła by spokój błogi w dzisiejszych stosunkach, zmusiłaby do konkurencji czynniki banku „usankcjonowanego", ergo okazałaby się „zbyteczną". I dla tych względów mało nadziei by w bliższej przyszłości zatwierdzoną została. A tymczasem szkodnictwo spekulacyjne mnoży się i choć rośnie włościański stan posiadania, w wielu razach nabywca parcelant na długie lata zamienia się w katorżnika, pokutującego za chwilę szału, szału posiadania ziemi karmicielki.

M. D.

Sprawa muzeum w Rapperswilu.

Nie wszystkim czytającym i świadomym Polakom pewno wiadomo, że na południowo-zachodnim krańcu jeziora Zurychskiego w Szwajcarji w malowniczym zamku po Habsburgach znajduje się polskie

---

Hojna ofiara.

Hrabia Józef Potocki, znany u nas dotychczas ze swych wypraw myśliwskich, przypomniał sobie nagle, że istnieje ogrom cały społecznych i narodowych obowiązków, oraz tradycja świetnych czynów rodziny Potockich, a zwłaszcza Stanisława Kostki, który był nietylko ministrem oświaty, ale i szefem wolnomularstwa polskiego i w tym charakterze olbrzymie, nieocenione dla kultury naszej położył zasługi... Pragnąc w nieznacznym bodaj zakresie pójść w ślady wielkiego pradziada, hr. Józef Potocki uczynił hojną ofiarę na rzecz *Warsz. Tow. Naukowego*, instytucji młodej, niezmiernie doniosłej i wielkie rokującej nadzieje, która odtąd mieścić się będzie we własnym, na ten cel ofiarowanym gmachu, wartości 200,000 rubli. Akt erekcyjny odbył się w tych dniach w historycznym pałacu Potockich na Krak.-Przedmieściu, wobec licznego grona sproszonych gości, do których gospodarz domu, nie bez pewnej emfazy, w te przemówił słowa:

„Dnia 25 marca 1911 roku, ja, Józef hr. Potocki, pragnąc wznowić przykłady moich przodków, Jana, Ignacego i Stanisława Potockich, zasłużonych dla polskiej nauki, oddaję na wieczystą własność Warszawskiemu Towarzystwu Naukowemu nabyty przezemnie w dniu 18 marca 1911 roku gmach przy ul. Kaliksta Nr. 8, który służyć będzie za siedzibę Towarzystwu i instytucjom nauk doświadczalnych, tudzież jako pomieszczenie dla przyszłych zbiorów, bibljotek i pracowni.

Mam nadzieję, że przy gorliwej pracy członków, oraz przy poparciu społeczeństwa ta nowa instytucja rozwinie się należycie i odpowie przeznaczeniu swemu".

Społeczeństwo nasze nieraz otrzymywało darowizny o wiele znaczniejsze, zwłaszcza stosunkowo, gdy weźmiemy pod uwagę nieprzebraną fortunę Potockich, ale nigdy nie widziano takiej orgji dziękczynień i hołdów, jaka rozpasała się po tym akcie, szpecąc piękne jego linje.

Cielęcy zachwyt.

Bardzo jest prawdopodobne, że towarzystwo, zebrane w sali bibljotecznej pałacu Potockich, zachowało by stosowny umiar, godność i takt w gorących i szczerych dziękczynieniach; cóż, kiedy znalazła się tam „śmietanka prasy warszawskiej" w osobach pp. Rabskiego i Kosiakiewicza, którzy w lot chwycili sposobność stworzenia nie tylko w komnatach pałacu, ale i w prasie — jakiegoś nastroju izby czeladnej w dniu imienin szczodrego chlebodawcy... Jeśli ci dwaj panowie, co zdążyli nietyle posiwieć ile utyć pod swoim sztandarem, istotnie mają reprezentować prasę warszawską — to smutne to dla niej świadectwo...

P. Rabski wygłosił w stylu makaronicznym na-

muzeum historyczne wraz z bibljoteką, zbiorami rękopiśmiennymi i archiwum odnoszącym się do dziejów polskiej emigracji politycznej. Muzeum to, zwane Rapperswilskim powstało przeważnie z darów złożonych przez polskie emigracje popowstaniowe, a także dzięki zabiegom hr. Platera i rozrosło się do tych rozmiarów i tego znaczenia, że już od lat wielu wymaga inteligentnego, fachowego zawiadywania i ochrony od pustoszycielskiej roboty owadów, zmiennych temperatur, światła i t. p. Pożąda ono również celowego, przejrzystego, samookreślającego się układu uwzględniającego różnice, chronologję wydarzeń historycznych, teoretyczne odrębności, kulturalne odcienie epok i t. p.

Tylko pod tym warunkiem, muzeum mogłoby spełniać swe zadania, uświadamiające społeczeństwo zachodnie i jednające ich szacunek i poważanie dla odkupieńczych chwalebnych wysiłków narodu.

Lecz od czasu chaotycznego nagromadzenie się okazów muzealnych i bibliotecznych, muzeum to powierzone pieczy rozmaitych t. z. „czcigodnych" obywateli pośród wychodźtwa, nie tylko na te niezbędności się nie zdobyło, ale nie wprowadziło nawet ekonomskiego ładu ażeby stan techniczny i całość zbiorów była zabezpieczona, czy to przed zniszczeniem, czy przed kradzieżą, czy też przed frymarką zamienno-handlową fantastów i manjaków, zaliczających się do szafarzów zbiorami muzealnemi.

Złym duchem muzeum, a dzięki zbiegowi nieszczęśliwych okoliczności, w dodatku wszechwładnym duchem jest osoba kustosza muzeum. Kustosz ów jest człowiem pozbawionym wszelkiej kultury i umysłowej i obyczajowej, jako barbarzyńca, nietylko kulturalnych przejawów nie odgaduje, nie rozumie lecz je nienawidzi i tępi gdzie mu się uda je spostrzec. Starość, i przeszłość zrobiła z niego niepoczytalnego manjaka, z wszelkimi kwalifikacjami szkodzenia muzeum, nie zrównoważonymi ani jedną zaletą.

Czyny i dzieła owego obłąkanego kustosza, nawiasem mówiąc, często poczęte w tyleż przerażającej co i najlepszej wierze są czemś pośrednim pomiędzy nieprawdopodobną anegdotą a złośliwą farsą, i to od lat mniej więcej dwudziestu. Jeżeli w tych okolicznościach muzeum doszczętnie nie spustoszało, to tylko dzięki temu, że tu i owdzie ludzie wyższej kultury, odmiennej szczęśliwszej wrażliwosci, od czasu do czasu sporadycznie hamowali nieszczęsne zapędy kustosza. Do takich ludzi, przez opatrzność zesłanych, należał Żeromski, Bukowski, dr. Dobrzycki, Miłkowski i jeszcze kilka innych osobistości. Kto chce się nauczyć wierzyć w niedające się pomyśleć niemożliwości spełnione przez kustosza niech przeczyta bajeczne fakty podane do publicznej wiadomości przez „Jednego z wielu", który w *Gońcu* zamieścił szereg informacji p. t. „Z tajemnic Rapperswilu".

Z tytułu swego charakteru pan kustosz nienawidzi wszelkich zabytków piśmienniczych nie wyłączając „białych kruków" i unikatów cenionych na wagę złota. O ile p. kustosz więcej niż niedocenia cennych książek i skryptów o tyle znów przecenia wartość i znaczenie karabel, buzdyganów, kinżałów, cybuchów i t. p. przedmiotów, co jeszcze byłoby znośnym, gdyby ze szczególną lubieżnością nie oddawał pierwszeństwa falsyfikatom przed autentycznymi okazami. Z pośród falsyfikatów największą wartość przywiązuje on do tych, które własnoręcznie wyrabia. Dzięki wieloletniemu przebywania na stanowisku takiego osobliwego kustosza, jakiego pewnie żadne muzeum na świecie nie oglądało, osobowość jego dziś wyraźnie wyciska swe piętno na muzeum. To też muzeum w dzisiejszym swym stanie przedstawia ze siebie chaotyczną rupieciarnię w której na front są wysunięte falsyfikaty wyrobu kustosza, a wartościowe przedmioty odsunięte na drugi plan, oddane na pastwę kurzu, moli, i t. p. spustoszenia. Osobliwą rzeczą w tym wszystkim jest to, że ten upadek i wynaturzenie muzeum jest wyłącznie dziełem jego orędowników dzisiejszych, gdyż wszelkie inne warunki istnienia muzeum są dla niego pomyślne. Niema trudności w znalezieniu funduszów na jego podźwignięcie, niema trudności w znalezieniu kompetentniejszych ludzi gorliwie oddanych sprawie.

Trudność całą, natomiast, stanowi obmyślenie sposobu, któryby zniewolił szkodników, stanowiących obecnie zarząd *Muzeum* do ustąpienia a udostępnił ludziom zdatniejszym zajęcie właściwych stanowisk. Formalnie rzeczy traktując, natrafia się na trudności, gdyż obecni działacze nie są pełnomocnikami szerszego ogółu ani emigracyjnego ani krajowego, lecz zostali powołani przez szczupłe grono osób w drodze doboru i kooptacji, w miarę jak dawne osoby wymierały. Również regulamin i ustawy obowiązujące są uchwalane i pisane przez tych, którzy mają je wykonywać. Tą drogą, rzecz publiczna i w gruncie rzeczy własność narodowa jest oddana na pastwę, na łaskę

---

tchnioną odę na cześć rodziny Potockich, przyczym w szale egzaltacji zwrócił się do solenizanta z tymi słowy:

„Twój pradziad, Stanisław Potocki, w chwilach wielkiej goryczy, kraj ten i miasto nazwał „Ciemnogrodem". Lecz dziś — słyszycie? — rodzi się Jasnogród!"...

Ejże! Czy to nie „Warszawka" raczej przemówiła przez usta Kaprysa, których pono „natura nie formowała miodem"?

P. Kosiakiewicz, mniej od swego kolegi wymowny, powetował to sobie nazajutrz, sążnisty pisząc w *Słowie* panegiryk na cześć hrabiego Józefa, który sam się zapewne zdziwił niepomału na widok tylu niezwykłych przymiotów, jakie wykrył w nim i wskazał p. Kosiakiewicz nieocenionym swym piórem.

A więc, godzien jest uwielbienia hr. Potocki, że „lekko niesie wielkie swoje dziedzictwo i — z fantazją"... Będąc posłem do Pierwszej Dumy ten „polski magnat słuchał tych wszystkich wrzasków bez zmarszczenia brwi"... „Jedzie na Cejlon i do Indji polować na lwy i słonie"... „I nie dość nawet: hr. Potocki dokupuje wielki majątek do ogromnych już dóbr swoich"... i t. d. P. Kosiakiewicz aż się zachłysnął w końcu i nie dodał: „wsławił imię polskie największym długiem karcianym, jaki znały dotychczas kroniki klubów zagranicznych"...

Lecz dość. Nie mamy bynajmniej zamiaru uwłaczać hr. Potockiemu, który spełnił piękny czyn obywatelski, za co szczerze jesteśmy mu wdzięczni. Ale w oczach myślącego ogółu niedźwiedzią mu przysługę wyrządziły te niesmaczne i przesadne hołdy ze strony osób, które roszczą sobie prawo do reprezentacji prasy polskiej, a nie szanują jej powołania.

Pośmiewisko.

„Kto nie zna wielkich współczesnych środowisk żydowskich — powiada A. Leroy-Beaulieu — ten nie zna żydów wcale". I z pomieszanym uczuciem litości i odrazy pisarz francuski odtwarza ten świat zatęchłych zabytków średniowiecza, z którym, niestety, pozostajemy w blizkim, acz mimowolnym kontakcie. Anatol Leroy-Beaulieu — należy to podkreślić — napisał sporą książkę (*Israël chez les Nations*) aby dowieść, że żydowstwo, pomawiane przez antysemitów o podkopywanie chrześciańskiego świata spiskiem nihilistycznym i przewrotowym — jest raczej *championem* wstecznictwa i rutyny zachowawczej, posuniętej aż do absurdu...

„Czy ten żyd polski, rosyjski, rumuński wygląda

i niełaskę marnotrawców. W tych warunkach wyłom w tym niedorzecznym układzie stosunków może zrobić tylko zwarta, jednolita, dobitnie zaznaczona opinja, która nietylko ma prawo ale i obowiązek wypowiedzieć się w kategoryczny sposób.

Uzasadnienie tego stanowiska jest proste.

Źródłem zbiorów muzealnych z natury rzeczy był i jest sam naród polski. Kompromitujący stan muzeum spada i obciąża nietylko orędowników spraw muzealnych, ale kompromitacja stąd wynikła na cały naród jest przenoszona. W tym, by muzeum cel swój osiągało, zainteresowanym bezpośrednio i przedewszystkim jest cały naród a nie garstka amatorów osławionej „Polnische Wirtschaft", którzy sprawę zabagnili. Z tych wszystkich względów ogół myślący, czujący i świadomy rzeczy, o ile w nim popędy kulturalne nie zamarły, powinien zdobyć się na tyle siły i stanowczości by ekspozyturę swej kultury narodowej, jaką jest muzeum Rapperswilskie, obronić przed wandalizmem niepoczytalnych szkodników.

Alexy Kurcyusz.

Z kuźni bluźnierstw.

Aforyzmy o Czynie.

VI.

Fabrykanci historji. Jest dziś bardzo modnym mówić: „my tu robimy historję, trzeba robić historję". Rozumieć to można dwojako. Naprzód jako przenośnię, to znaczy robi się np. rewolucję, pracę organiczną i t. p., wogóle coś, co później będzie przez historyków rozpatrywane jako fakt, czy prąd historyczny, robi się jednak to coś bez względu na to, jakiego koloru kartę w historji polskiej z r. 2015 będą te fakty miały, czy będą wydrukowane tłustym drukiem, czy petitem, lub wogóle miejsca tam nie znajdą. Albo też robi się historję jako historję, to znaczy nie z pobudek merytorycznych, lecz gwoli perspektyw, gwoli przewiewności, gwoli nastrojom historycznym (etap, epoka, era). Wszakże socjaliści traktowali ostatni upust krwi w Królestwie jako „lekcję poglądową", jako „rewję sił" lub „zasiew", wogóle, jako akcję, obliczoną (?) na daleką metę. Fakt robienia takiej „historji" ma równocześnie swój korelat w literaturze. Cała rewolucja literacka z czasów Przybyszewskiego była fabrykowana według wzorów zagranicznych, teraz zaś p. Feldman usiłuje na gwałt sfabrykować epokę neoromantyczną i wmawia ją we wszystkich od paru lat z małym powodzeniem. A chociaż fabrykowanie historji literatury odbywa się przy pomocy czcionek, zaś przy fabrykowaniu historji politycznej czcionkami są życia i mienia ludzkie,—faktu fabrykacji to nie zmienia i schemat jest tu i tam ten sam.

Ultima ratio. W „Dziejach jednego pocisku" Struga podaje jeden z bohaterów jako ostatnią rację powstania: kwestję honoru narodowego. To samo mówi Filipowicz, dodaje tylko, że te odruchy honoru mają jakoby napoić powoli wroga respektem.

Sytuacja jednak jest może sto razy gorsza, albo sto razy lepsza. Niewiadomo przytym, co ma uchodzić za odruch honoru — i czy gryzienie kajdan rzeczywiście zaimponuje temu, który je nałożył.

Karol Irzykowski.

KRYTYKA.

Karin Michaëlis: **Wiek niebezpieczny**. Powieść. Przełożył oraz uzupełnił Alfred St. Iwieński.

Sensacyjne książki zwykle zawodzą inteligentnego czytelnika, gdy w nich szuka czegoś zupełnie nowego, nieprzemyślanego lub nieodczutego co do treści, czegoś niezwykle wytwornego, co do formy artystycznej; zasługują jednak na uwagę, wtedy gdy są wyrazem szczerego bólu i oburzenia przeciwko panującej obłudzie; gdy zdzierają choć rąbek zasłony, pod którą współczesne życie zazdrośnie ukrywa rażącą je swą szczerością prawdę; gdy są wyrazem tego buntu, który choć „brzydzi się domowej wojny, lecz wie, że jedynie buntem hańbę tej ziemi można wydrzeć z gruntem".

Taką domową wojnę w obozie kobiecym wywołała książka Kariny Michaëlis „Wiek niebezpieczny".

na pioniera postępu? — woła z przekąsem znakomity uczony. — „Przyjrzyjcież mu się! Czy to on i jemu podobni pchają świat współczesny na nowe tory? Czy można go posądzić o niebezpieczne dla kultury chrześcijańskiej nowości? tego nędzarza?!

Nie, zaiste, zbyt on na to biedny, zbyt ciemny, zbyt zahukany, zbyt daleki i obcy wobec naszych zagadnień wyznaniowych i politycznych. Zagadnijcie go: nie odpowie, bo nie zrozumie. Nic dziwnego: jest on na to nazbyt religijnym, zbyt bigotem, tradycjonalistą i wstecznikiem... Bowiem na świecie całym niema istoty, zdradzającej taki upór zachowawczy, jak żyd talmudysta.

Pod tym względem góruje on nad mandarynem chińskim i nad rosyjskim chłopem.

I ten człowiek, malowany jako naturalny wróg tradycji, o nic tak nie dba, jak właśnie o skrupulatne jej przestrzeganie"...

I tak jest w istocie. Słynny zjazd rabinów w Warszawie, w r. 1909-m, pobił wszystkie rekordy zapędów reakcyjnych, a w swej pieczy o zachowanie *status quo* żydowskich obyczajów i wierzeń udał się wszak gremialnie pod łaskawą egidę władz miarodajnych i panujących Kościołów.

Póki te rzeczy trwały w rodzinie, w granicach państwa rosyjskiego, świat o nich nie wiedział. Lecz oto cuchnące wyziewy talmudyczne, skupione przy ul. Gnojnej, zaczynają się ruszać, rozszerzać poprzez kordony, idą na Zachód, pełznąc po świecie wraz z wychodźtwem polskich i rosyjskich żydów — i dziś jawią się przerażonym oczom zachodnich ich współplemieńców jak widmo haniebnego trądu albo zarazy morowej, o której słyszano, że trapiła ludzi w średniowieczu, ale nikt nie przypuszczał, by trwała dotychczas i znów mogła grasować...

Żydzi na Zachodzie byli zawsze żywiołem przodującym i kulturalnym; wymuszony ich z Hiszpanji *exodus* przyczynił się niemało do zdziczenia i upadku tego kraju, a ich udział kulturalny w dźwiganiu potęgi i świetności Holandji, Anglji i Ameryki powszechnie jest znany i ceniony.

Ale ten prąd żydowstwa, jaki dziś kieruje się ze Wschodu na Zachód, jest poprostu falą barbarzyństwa i talmudycznego obłędu, zdolną w ciągu jednego roku stokroć spotęgować nikły w tych krajach antysemityzm...

Skądinąd wiadomo, że w Paryżu najazd rosyjskich i polskich żydów spowodował żywiołowy odruch niechęci w kołach radykalnych i socjalistycznych, skąd nawet padły interpelacje w Izbie, zabarwione mocno duchem antysemickim.

Niedawno znów zasiadał w Leeds kongres rabi-

Zarzucały kobiety swej współtowarzyszce zdradę tajemnicy, dawanie broni do ręki swym urodzonym przeciwnikom — mężczyznom. Tajemnicą tą ma być wiadomość, że w pewnym wieku, którego ściśle określić niepodobna, lecz który, zdaniem autorki, leży pomiędzy czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem, duchowe i uczuciowe życie kobiety dojrzewa do ostatnich granic, i że wtedy, w tym wieku krytycznym, kobieta podlega rozmaitym marzeniom, nastrojom i nawet czynom impulsywnym, za które nie odpowiada, a jednak cierpi bez winy, a więc wymaga wyjątkowych względów delikatności i wyrozumiałości subtelnej ze strony swego otoczenia, zwłaszcza ze strony mężczyzn.

Tajemnica ta, zdradzona wrzekomo przez K. Michaëlis, dodajmy zaraz—w formie artystycznej dość słabej, nie była tajemnicą dla ludzi obeznanych z fizjologją kobiecą i zastanawiających się nad życiem kobiet w małżeństwie. Pomimo naszej całej kultury, pomimo nieskończonej dyskusji o równouprawnieniu płci, nie rozumiemy, że kamieniem węgielnym szczęśliwego małżeństwa jest harmonijne współżycie, oparte na doborze płciowym i duchowym, że nie wystarcza ani sama miłość, ani piękno, ani tym bardziej ten biedny, tak często bankrutujący rozum.

Nasze wykształcenie przyrodnicze, nasze poczucie etyki i estetyki powstrzymują obszernika od skrzyżowania rasowej suki z kundlem i pięknej arabskiej klaczy z osłem, lecz nic nie przeszkadza mu w oddaniu nieraz najpiękniejszego okazu rasy ludzkiej, subtelnej kaszelańskiej córy rachitycznemu bogatemu łykowi, sumienie pozwala mu na rzucenie pięknej róży wonnej w objęcia oślizgłej żaby.

Zycie płciowe znacznej większości kobiet jest ciągłym oczekiwaniem urzeczywistnienia wymarzonych pełnych poezji rojeń i ciągłem brutalizowaniem tych uczuć przez realne życie. Płciowo dojrzewająca wcześniej od mężczyzn, oczekuje kobieta na zrealizowanie swych miłosnych pragnień, na przyjście owego królewicza z cudnej bajki, wyśnionej w marzeniach dziewiczych, i zaraz w pierwszą noc poślubną, jak to stwierdza ta wstrętna, zimna statystyka lekarska, dostaje jako dar poślubny bardzo często rzeżączkę, często — ciążę, a zawsze prawie — bolesny zawód. Dalsze jej pożycie małżeńskie w najlepszym razie jest zaledwie rzemieślniczym zaspakajaniem, katechizmowym spełnianiem obowiązków małżeńskich, z zupełnym pominięciem lub niezrozumieniem potrzeb duchowych. I gdy kobieta niema duszy niewolniczej, gdy walczy o swą indywidualność, to „wiek niebezpieczny" zaczyna się u niej o wiele wcześniej, niż o tym mówi K. Michaëlis — bo od chwili stwierdzenia przez kobietę faktu, że w małżeństwie żyje się najczęściej obok siebie, a nie ze sobą, zaczyna się od chwili stwierdzenia dysharmonji, na którą rozmaite natury rozmaicie reagują. Powstają więc rozmaite nastroje bardzo zmiennę, czasem nawet dolegliwości fizyczne, apatja, na którą nie pomaga ani brom zapisywany przez lekarzy, ani tym bardziej rzucane zbyt niepowściągliwie przez nich rozpoznanie: „histerja". Niektóre kobiety zamiast bromu stosują z lepszym, chociaż też przemijającym, skutkiem... kochanka, i idą wytrwale wciąż tą samą drogą flirtu, zakochań, zwierzeń uwielbiania; pokory, zazdrości, niedowierzania, bólu, nienawiści, pogardy, zmieniając jednego na drugiego. Im marniejszego spotkały człowieka, z tym większą namiętnością stroją go w najwyszukańsze zalety, dopóki następca nie pozwoli widzieć poprzednika w jego istotnej barwie. Czasem namiętnie poszukują ojca dla mającego się zrodzić dziecka i zawsze znajdując nieprzebyte jakoby przeszkody do urzeczywistnienia zamiaru, zmieniają wybrańca. Aż tu pewnego poranku, przeglądając się w lustrze, zoczyły pierwszy włos siwy, pierwsze zmarszczki na twarzy, pewną rozlewność rysów, pewną otyłość w talji — znak zbliżającej się starości. Wtedy zjawia się ten najniebezpieczniejszy wiek. Z namiętnością ust pragnących i nienasyconych, chwytają się wszystkiego by jeszcze raz, może raz ostatni, ująć w swe ramiona pełnię życia.

I wtedy to właśnie, w tej fazie życia kobieta jest zdolna do wszystkiego, nawet... do powiedzenia prawdy, jak to uczyniła Karin Michaëlis.

Za to szczere powiedzenie prawdy, należy się autorce uznanie. Zagadnienia seksualne, jak to słusznie zauważył Forel, gmatwają stosunki małżeńskie w obecnym życiu społecznym dzięki panującej igno rancji i obłudzie. Szczere i w intencji swej bardzo uczciwe i szlachetne odezwanie się K. Michaëlis zmierza do odświeżenia zatęchłej atmosfery małżeństwa współczesnego i niesłusznie sprowadziło na głowę autorki zarzut erotomanji, nieopatrznie rzucony przez cnotliwych tabetyków i obłudne a rozwiązłe kwoczki domowe.

Dr. Ignacy Mucha.

---

nów, przyczym liczebną mieli przewagę przybysze ze Wschodu, zaś nadrabin angielski Adler poniósł porażkę w starciu z hordą zapienionych i obłędnych fanatyków i uciekł, zatykając uszy ze zgrozą przed dźwiękiem uchwał, przeniesionych żywcem z ulicy Gnojnej...

Zauważmy w nawiasie, że to co budzi lęk i grozę w rabinach angielskich — dla sfer postronnych, nieżydowskich, jest poprostu ohydą albo pośmiewiskiem, dziką parodją religji i potwornym zboczeniem myśli ludzkiej.

„Nowa Gazeta".

Jest to publiczną tajemnicą, że *Nowa Gazeta* od lat kilku chyli się do upadku, a liczba jej abonentów topnieje z każdym rokiem.

I przyczyną tego — musimy wyznać otwarcie — nie jest bynajmniej ogólna reakcja. Liczba prenumeratorów tygodników postępowych powoli ale stale się zwiększa w ostatnich latach, a z codziennych pism *Kurjer Poranny* wykazał wzrost czytelników w naszych stosunkach niespodziewany. *Nowa Gazeta* upada dlatego, że do roli wielkiego organu codziennego postępowego polskiego—nie dorosła. Wbrew oczekiwaniom swych czytelników, pomimo zwiększenia objętości, pozostała ona w gruncie rzeczy tą samą *Gazetą Handlową*, z której powstała i siłą rzeczy musiała utracić tych odbiorców, którym *Gazeta Handlowa* wystarczyć nie mogła. Dział publicystyczny *Nowej Gazety* był zawsze blady i pozbawiony rozmachu ideowego. Jedyną kwestję, którą się *Nowa Gazeta* przejmowała goręcej — kwestję żydowską, — poruszała zazwyczaj w sposób tak niezręczny, że osiągała przeważnie rezultaty wprost przeciwne zamierzeniom.

Redakcja jednak, daleka zawsze od tego, by zdać sobie sprawę z istotnej przyczyny swych niepowodzeń, szukała winnych poza sobą i skierowała całą swą nienawiść do szczęśliwszego współzawodnika. W zdenerwowaniu swym jęła się metod równie nielojalnych jak nieskutecznych. Wzięła udział w skandalicznej nagance na redaktora *Kurjera Porannego*. Sprawę przegrała. Ogłosiła *Kurjer Poranny* za organ „antysemicki" i osiągnęła ten nieoczekiwany rezultat, że ludność żydowska bez różnicy kierunków chętniej czyta drgające życiem artykuły p. Ehrenberga, niż nudną prozę obu braci Kempnerów.

Nowa Gazeta nie znosi nawet wzmianki o *Kurjerze Porannym*. W jednym z ostatnich numerów rzuca

Leo Belmont: **„Pomiędzy sądem i sumieniem"**, rozwiązanie zagadki psychologicznej „Sprawy przy drzwiach zamkniętych". Warszawa 1911.

W jaskrawe szaty sensacji ubrana myśl poważna i doniosła — oto najogólniejsze wrażenie z ostatniej książki p. B. Autor usiłuje ideom społecznym lub psychologicznym przypinać skrzydła motyle i z okien swej redakcji wypuszcza je na swawolne powiewy chwilowych zainteresowań ulicy, w nadziei, że płocha publiczność, goniąc barwnego motyla, upoluje, niespodzianie dla samej siebie, jakąś smutną, ale niezbędną prawdę życiową, zyskując w ten sposób nowe odkrycie, lub nowe cenne doświadczenie. Dwie ostatnie, w formę djalogu ujęte, powieści p. B. stanowią krytykę zasadniczej niedostateczności środków aparatu sądowego dla przeniknięcia w duszę i w sumienie podsądnego. „Dusza ludzka — to grunt! — zdaje się przemawiać sam autor ustami świadka Archimonowa; — a co wy, panowie wysocy sędziowie, o duszy człowieka wiecie? Ot, usiadł ci taki na ławie — chałat aresztancki to widać — łzy to już mniej — rękawem obciera — a jak koty w duszy jego skrobią? — to tego nikt nie widzi. I może to on spełnił (zbrodnię), ale w sumieniu swoim już dawno męką oczyszczon i biały stoi — a wy jego knucikiem na Sybir popędzicie? A może i nie zrobił, ale jest archipodlec — i zbójca i złodziej najgorszy — rozpustnik—co tylko o złym myśli i czeka aż go wypuszczą, żeby takie zrobić, co od nich i samemu szatanowi włosy staną na głowie... Tak... W duszę człowiekowi nie wleziesz. Wiem jedno, że sąd nie jego (oskarżonego) sądzi — s i e b i e s ą d s ą d z i, jego nie zobaczy, a siebie pokaże!"

Jan Tarczewski.

Adam Grzymała Siedlecki: **Galerja moich bliźnich.** Nowele i fraszki.

P. Adam Siedlecki nie jest artystą, tylko krytykiem artystycznym; rzeczy, ludzi i zjawiska potrafi analizować, rozkładać na pierwiastki, ale syntetycznego obrazu całkowitej postaci, lub całkowitej żywej sytuacji dać nie umie. Posiada wybitny dar spostrzegawczości, wrażliwość malującą się w słowie trafnym i niekiedy barwnym, przedewszystkim zaś rozporządza inteligiencją wyostrzoną, jak lancet chirurga oraz dużą kulturą historyczną i literacką. Gruntowne zasoby wiedzy i talentu autor złożył w krytycznej monografji swej o Wyspiańskim; odwracając wzrok od przepaści tragicznych zagadnień wielkiego poety ku poziomom płaskiej powszedniości, p. Siedlecki nie mógł oprzeć się przekornemu uśmiechowi ironji na widok nędznej maskarady ludzkiej. Z tego to przekornego uśmiechu narodziły się — *nowele i fraszki.*

J. T.

Z muzyki.

Niedawno odbył się ostatni (VIII-y) w tym sezonie koncert „historyczno-pedagogiczny" dla młodzieży, organizowany staraniem p. M. Sobolewskiej, kierowniczki szkoły śpiewu. Myśl w zasadzie piękna i pożyteczna, mogąca się przyczynić do rozwoju naszej kultury muzycznej, niezbyt wysokiej, mówiąc nawiasem, jednak urzeczywistnienie jej nie jest wolne od pewnych braków, poważnych nawet, na które chciałbym zwrócić uwagę, tymbardziej, że nikt nie poruszył dotąd tej sprawy, przeciwnie, koncerty te cieszą się przesadną sympatją prasy.

Najważniejszym warunkiem, bez którego nie może być mowy o koncercie pedagogicznym dla młodzieży, jest program, dostosowany umiejętnie do poziomu muzykalności słuchacza, gdyż inaczej zamiast korzyści, koncert przyniesie tylko szkodę, nużąc i zniechęcając młodociane audytorjum. Następnym warunkiem, również nieodzownym, jak pierwszy, jest wartość artystyczna produkowanych utworów, która musi być bezwarunkowo wysoka.

O ile pod tym względem programy koncertów dla młodzieży nie zasługują naogół na zarzut, o tyle nie zawsze odpowiadają pierwszemu warunkowi, t. j. wybór utworów często jest niewłaściwy, niepedagogiczny, mówiąc krótko. Jaką np. korzyść odniesie młody słuchacz, nieprzygotowany dostatecznie, z wysłuchania kilkunastu pieśni modernistycznych, które, mówiąc nawiasem, nic jeszcze wspólnego nie mają z historją? Czy może np. wysłuchać z korzyścią koncertu, złożonego z kilkunastu kompozycji tyluż autorów? Wrażenie, jakie słuchacz otrzyma z takiego

---

na *Prawdę* niedorzeczne insynuacje z powodu, że w dziale „Z prasy" cytujemy od czasu do czasu urywki z *Kur. Porannego. Nową Gazetę* cytujemy rzadziej; ale nie jest to naszą winą, że pismo to jest tak beznadziejnie jałowe, co z bólem przyznają otwarcie i najlepsi jego przyjaciele.

Z powodu naszych wystąpień w imię słuszności w głośnej sprawie o fundusz strażacki, zarzuca nam organ p. Kempnera, że prowadzimy specjalny dział obrony honoru pp. Fryzego i Ehrenberga. O p. Ehrenbergu nie pisaliśmy w *Prawdzie*, ale przy sposobności musimy zaznaczyć, że rzucanie od czasu do czasu groźb jakichś rewelacji przeciwku temu utalentowanemu publicyście, tendencyjne puszczanie błędnych informacji nawet o jego bracie, jest czymś niesmacznym i wstrętnym. Boć jeżeli prawdą jest, że p. Ehrenberg kiedyś był antysemitą, to z postępowego punktu widzenia raczej cieszyć by się należało, że stanowisko to porzucił.

Obronę niesłusznie spotwarzonego redaktora *Kur. Por.* uważamy sobie za zasługę publicystyczną. Wybaczy nam *Nowa Gazeta*, lecz zdaniem naszym, obrona pokrzywdzonych jest jednym z zadań każdego *uczciwego* pisma. Nie chcemy przypuszczać, żeby *Nowa Gazeta* była tego zdania, że jednostka wtedy tylko zasługuje na obronę, jeżeli nazywa się Drejfusem i mieszka we Francji. W wypadku L. Fryzego chodziło nam nadto o coś więcej niż o obronę jednostki, a mianowicie o złamanie teroru kliki, który mógłby być zgubny dla niezależnej prasy postępowej — i cel ten osiągnęliśmy w zupełności.

W jednym tylko musimy przyznać *Nowej Gazecie* rację. Nie wyrażono istotnie na łamach tego pisma powątpiewania, czy mogą istnieć w Polsce kwestje palące i ważne poza sprawą „antysemityzmu postępowego". Skonstatować jednak musimy, że *Nowa Gazeta* trochę się ożywia jedynie wtedy, kiedy mężnie gromi urojone zastępy „antysemitów postępowych".

Sprawy zaś stokroć ważniejsze, jak więc objawy budzenia się ludu naszego, zbywa suchymi wzmiankami reporterskimi. Wśród postępowców polskich coraz wyraźniej utrwala się przekonanie, że *Nowa Gazeta* nie przynosi postępowi polskiemu nic lub w najlepszym razie — bardzo mało.

koncertu, musi być z konieczności chaotyczne i nie przyczyni się wcale do poznania literatury muzycznej, cech charakterystycznych twórczości danego kompozytora, słowem, nie będzie miało żadnego wpływu na rozwinięcie muzykalności, co przedewszystkim jest zadaniem koncertu pedagogicznego. Istnieją wprawdzie programy rozumowane, jednak objaśnienia w nich zawarte, wystarczające najzupełniej dla osób z muzyką obeznanych, nie mogą być dostateczne dla młodzieży. Daleko korzystniejsze byłyby wyjaśnienia ustne, podawane z estrady przed wykonaniem poszczególnych numerów programu, w formie jasnej, przystępnej i interesującej. Nie powinny też być koncerty zbyt długie, jak się to zdarza najczęściej, gdyż wpływa to ujemnie na wrażliwość, nuży i może nawet zniechęcić.

Temat niniejszy możnaby jeszcze rozwinąć daleko obszerniej, nie będę już jednak poruszać szczegółów, gdyż zdaje mi się, iż to, co napisałem, wystarczy do uzasadnienia moich poglądów w sprawie „historyczno-pedagogicznych" koncertów dla młodzieży, w sprawie bądź co bądź ważnej dla naszego życia muzycznego, więc zasługującej na omówienie. Moim zdaniem, o ile koncerty pedagogiczne mają odpowiadać swemu założeniu, powinny być zreformowane gruntownie, na podstawach racjonalnych, inaczej mijają się z celem, więc nie mają racji bytu.

A. Zabłocki.

NA DOBIE.

„Polnische Wirtschaft"

Jakiś kompozytor z pod ciemnej gwiazdy sklecił modną dziś w Berlinie operetkę i nazwał ją „*Polnische Wirtschaft*", Podobno wyśmiewa się tam ową najmniej zaszczytną z naszych wad narodowych z właściwą Niemcom gracją i lekkością dowcipu. Wypadek sam przez się błahy, odbił się dość głośnym echem na szpaltach naszej prasy, która dalibóg, zamiast gorszyć się „zuchwałym nietaktem" sąsiadów, powinna raczej tropić i wypleniać tę przysłowiową „polską gospodarkę", panoszącą się po dziś dzień na najpierwszych placówkach narodowych, nietylko w kraju, ale i poza kordonem.

Kto nie wierzy, niech zwiedzi *Muzeum Narodowe* w Rapperswilu, a przynajmiej niech przeczyta uważnie ostatnie o nim rewelacje. W tym bowiem Muzeum naszych pamiątek, na pokaz obcym, wystawiono zupełnie mimowoli wspaniały egzemplarz „polskiej gospodarki" w osobie kustosza p. Rużyckiego de Rosenwerth, który wywiązał się ze swej roli nad wszelki wyraz udatnie. Tylko, że nie operetka to, ale smutna bardzo komedja.

Ten „kawaler z różą" od lat 20 zachowuje się w Muzeum cennych pamiątek bez mała tak, jak wół w składzie porcelany; trudno określić inaczej dokonane przezeń spustoszenie...

P. kustosz miał jednak za sobą poparcie czcigodnej Rady, konsystującej głównie w Paryżu i we Lwowie, to też broił bezkarnie prawie przez ćwierć wieku, gdy zaś pogrom był już dokonany, opinja publiczna zaczęła się zlekka niepokoić. Lepiej późno, niż nigdy, to też gdy Stefan Żeromski wystąpił z szeregiem ciężkich bardzo zarzutów przeciw „polskiej" gospodarce w Rapperswilu, spodziewać się można, że p. Rużycki de Rosenwerth zostanie wreszcie okiełznany i zamknięty w bezpiecznym miejscu.

Oto kilka jaskrawszych szczegółów rewelacji: cenne zbiory Leonarda Chodźki, gromadzone w ciągu całego życia, wyrzucono na śmietnik z rozkazu kustosza analfabety; popsuto ciekawą maszynę do rachowania pomysłu Baranowskiego, bo p. kustosz chciał zobaczyć, co się wewnątrz znajduje, przypomniawszy snadź sobie pierwsze lata dzieciństwa, kiedy badał zawartość lalek swojej siostrzyczki; zmarnowano sztychy sławnego Oleszczyńskiego, a nadto:

„Pan kustosz muzeum strzelał z pistoletu do celu, a za cel używał małych elzewirów. w białą skórę oprawnych. Egzemplarze poprzestrzelane można znaleźć w bibliotece i wystawione widzieć w witrynach. Na sztychach, choćby na rzadszych, kustosz miał zwyczaj pisać uwagi nieprzychylne albo objaśniać treść za pomocą aforyzmów, opatrzonych swym podpisem. Na posągach wyskrobywał podpisy, jeśli je uznał za niewłaściwe. Niektóre „exlibrisy" pomazał dopiskami, niektóre bardzo rzadkie portrety zniszczył".

Nie lepiej obszedł się p. Rużycki de Rosenwerth z akwarelą Maksymiljana Gierymskiego „Powstaniec na koniu", której użyto do podklejenia odwrotnej strony pospolitej jakiejś litografji, co po usilnych poszukiwaniach wykrył Stefan Żeromskl za bytności swojej w Muzeum. A oto jeszcze dwie próbki metod p. kustosza:

„Istniał w muzeum etnograficzny model włościanina z pod Krakowa, ofiarowany przez Jana Nepomucena z Oleksowa Gniewosza. Był to Krakus w rogatywce czerwonej, trzymający kosę w ręku. P. kustosz uzbroił owego Krakusa w kosę na sztorc nabitą, za pas wetknął mu parę pistoletów, do boku przypasał pałasz, na ramiona włożył szlify oficerskie i, umieściwszy go przy łóżku Tadeusza Kościuszki, stwierdził, że to jest najautentyczniejsza podobizna Bartosza Głowackiego, gdy był po bitwie pod Racławicami awansowany przez naczelnika na szarżę oficerską. Zbrojny Bartosz Głowacki pilnował teraz łoża swego wodza. Wszyscy przywykli do tego widoku.

Ale oto przybył do muzeum rappersw. w celu przeprowadzenia studjów p. Bronisław Gembarzewski, znakomity znawca historji wojskowości polskiej. I oto (obok innych wyjaśnień) dokonał rozbrojenia Bartosza Głowackiego Okazało się bowiem, że Bartosz ma na ramionach szlify piechoty francuskiej z r. 1873— za pasem pistolety kapiszonowe, a u boku pałasz-tasak podoficera rosyjskiego z najzupełniej nowożytnej fabryki w Tule...

W tymże pokoju wisiała laska z napisem na kartce: „Laska Tadeusza Kościuszki". Okazało się jednak, że laska jest kijem górniczym Leona Zienkowicza, emigranta z roku 1863, inżyniera we Włoszech, po którym nieco rzeczy przeszło do muzeum w Rapperswilu. Kustosz oświadczył, że w istocie pomylił się. Ale na miejsce laski w kształcie górniczego młotka zawiesił nazajutrz ciupagę zakopiańską z żelazną rękojeścią, którą ktoś świeżo przywiózł do Rapperswilu. Na niej umieścił ten sam napis: „Laska Tadeusza Kościuszki". Gdy i ciupaga została eliminowana z kościuszkowskiego zbioru, powędrowała na dół do zbiorów ogólnych, pozostających pod wyłączną władzą p. kustosza i tam zdegradowana została na stopień niższy. Nazajutrz ujrzałem na niej napis: „Laska Wincentego Pola".

Dość tego! Można się śmiać z berlińskiej operetki p.t. *Polnische Wirtschaft*, ale to, co się dzieje w Rapperswilu — jest rzeczą bolesną, haniebną! Nieudolna i niedbała Rada powinna natychmiast podać się do dymisji razem z głupkowatym p. Rużyckim de Rosenwerth. Członkami sławetnej Rady są wybitni działacze endecji, między innymi pp. Dmowski i Balicki; ten godny zespół zdążył w krótkim czasie rozgrabić Skarb Narodowy na różne niechlujne cele propagandy partyjnej; nic dziwnego że „trzeźwi" ci panowie patrzą obojętnym okiem na pogrom pamiątek narodowych, które, nie będąc monetą, w kraju obieg mającą, żadnej w ich oczach nie stanowią wartości...

Ale tu już kres tej fatalnej pod każdym względem dyktatury „nowoczesnych Polaków".

Opinja publiczna żąda wielkim głosem, aby Muzeum Narodowe odebrać barbarzyńcom i ewentualnie przenieść do Krakowa, gdzie pod odpowiednim nadzorem, pod bezpośrednią pieczą całego narodu — wolne będzie od wandalizmu i nieobliczalnej głupoty dzisiejszych kierowników.

A „polskiej gospodarce" ubędzie jeden iście okazowy teren, co nie jest wcale bagatelą.

Jubileusz Pauliny Kuczalskiej-Reinschmit.

30-ci lat wytrwałej, jednolitej, samodzielnej pracy dla idei równouprawnienia kobiety polskiej, to zasługa wielka wobec rozwoju kultury i demokratyzacji, wobec ogólnego intelektualnego podniesienia kobiety, wobec powołania do życia wielu stowarzyszeń kobiecych, mających na celu zdobywanie sobie prawa do pracy, do wiedzy i niezależności nietylko materjalnej, ale i duchowej.

Od 30-tu lat każda dziedzina życia kobiety polskiej nietylko Jubilatkę interesuje, ale dla każdej z osobna walczy ona, pisze, agituje, organizuje by zbliżyć chwilę zupełnego równouprawnienia płci obojga tak w życiu ekonomicznym, umysłowym, moralnym jak i prawno-politycznym. I te hasła rzuca Paulina Kuczalska-Reinschmit bez kompromisów i zastrzeżeń lat trzydzieści! gdy jeszcze entuzjastki swym żądaniem umysłowego wyzwolenia kobiety wzbudzały ironię jednych, a przestrach i oburzenie drugich, gdy każda dążność do naruszania zastarzałych tradycji, krępujących indywidualność, a nawet samodzielność kobiety, — jest potępioną i nielitościwie ośmieszaną.

P. Kuczalska-Reinschmit idzie niestrudzenie całe dziesiątki lat wśród tej drogi cierniowej, a gromadząc w około siebie najdzielniejsze i najindywidualniejsze jednostki kobiece, organizuje pod skromną nazwą III-ej szwalni pierwsze w Polsce stowarzyszenie kobiece, dążące do ekonomicznego wyzwolenia. Czasy to były ze wszech miar ciężkie i trudne: z jednej strony praca oświatowa bezwzględnie prześladowana przez rząd, z drugiej znów własne społeczeństwo nie dorosło jeszcze, czy nie chciało w kobiecie widzieć człowieka. Ale wiara w dobro sprawy, śmiałość i wytrwałość w przedsięwziętych pracach udzielały się innym i trzecia szwalnia przeobraża się w „koło pracy kobiet", które pod hasłem demokratyzacji miało objąć wszystkie kobiece żywioły robocze. Źródło to, jak potok górski żłobiący granity skał, siłą rozmachu i potęgą inicjatywy Jubilatki wytwarza wielce pożyteczne kulturalne instytucje kobiece, potrzebą chwili wywołane, jak: szkoła dla służących, kursy gospodyń, Stow. kobiet pracujących w handlu i przemyśle, koło ziemianek i inne.

Wreszcie w 1906 r. zostaje zalegalizony upragniony od dawna „Związek równouprawnienia kobiet polskich" na czele którego Jubilatka stoi podziś dzień.

Jednocześnie idea równouprawnienia staje się powoli mniej straszną i śmieszną, bo Jubilatka i współpracujące z nią na tym polu rzeczniczki tej idei, zawsze i wszędzie starają się wykazać, że dążyć do równouprawnienia, to nie znaczy wywracać porządek społeczny, lub burzyć ideały narodowe, lecz przeciwnie, to znaczy: iść z prądem czasu, z siłą postępu, z natężeniem przetwarzających się warunków ekonomicznych, w imię rozwoju duchowego i etycznego, w imię wyzyskania pierwiastku kobiecego, który, nie mając dostępu do życia publicznego — przepada, marnieje, niknie ze stratą i uszczerbkiem dla tylu dziedzin życia które dziś leżą odłogiem.

Uznanie zasług przewódców ideowego ruchu dowodzi dojrzałości danej idei, wykazuje znaczny stopień jego rozwoju. I choć do dziś idea równouprawnienia jest jeszcze w naszym społeczeństwie niezbyt popularną, lecz i sam dzień jubileuszowy, który zapozna szerszy ogół z rozwojem najżywotniejszych zagadnień ruchu kobiecego, będzie nowym etapem do zdobycia nowych sprzymierzeńców i może przynieść dla samej sprawy wielki pożytek.

Jubileusz Pauliny Kuczalskiej-Reinschmit odbędzie się w dniach 6 i 7 maja r. b.—Wieczór 6 maja poświęcony będzie wyłącznie uczczeniu społeczno kulturalnych zasług pionierki ruchu kobiecego w Polsce, przewodniczącej „Związku równouprawnienia" i redaktorki *Steru*; — a dzień 7 maja da nam referaty najwybitniejszych jednostek ruchu kobiecego, obejmujące całokształt dążeń wyzwoleńczych współczesnej kobiety.

Dr. med. J. Budzińska-Tylicka.

Wyjaśnienie.

(O „antysemityzm postępowy").

W przedostatnim numerze *Prawdy* w rubryce „Z prasy" wyrażono powątpiewanie co do istnienia grupy „antysemitów postępowych" oraz zaznaczono, że z osób, które zdaniem niektórych pism, są wyrazicielami tego kierunku, p. Andrzej Niemojewski nigdy do Polskiego Zjednoczenia Postępowego nie należał, a p. Iza Moszczeńska wystąpiła z Polskiego Zjednoczenia Postępowego wskutek różnicy zdań w tej właśnie kwestji.

Z tego powodu w Nr. 167 *Myśli Niepodległej* pojawiła się notatka, zawierająca informacje błędne i niezgodne z rzeczywistością.

„W kwestji zapoczątkowania krytyki błędów żydowskich — pisze p. Niemojewski — odbywały się uprzednio narady między wymienionymi wyżej redakcjami (*Myśli Niepodległej*, *Kurjera Porannego* i *Prawdy*—prz. Red.) i osobami, które to narady doprowadziły do zasadniczego porozumienia i z którego była bardzo zadowolona redakcja *Prawdy* oraz Zarząd Zjednoczenia Postępowego. Jeden tylko p. Łypacewicz z przyczyn, które dotąd nie zostały wyjaśnione, był zapoczątkowaniu tej krytyki przeciwny, to też dokładał wszelkich starań, aby sprawa wzięła inny obrót. Tedy jako członek Zarządu zamiast dążyć do tego, aby być wyrazem opinji ogółu członków, zaczął temu ogółowi narzucać swoje zdanie, na co ów ogół odpowiedział albo masowym usuwaniem się od uczestnictwa w wieczorach dyskusyjnych, albo nawet masowym wykreślaniem się ze Zjednoczenia".

Nic podobnego nie miało miejsca. W Polskim Zjednoczeniu Postępowym na początku roku 1910 roztrząsano kwestję żydowską, której poświęcono kilka posiedzeń Rady Głównej stronnictwa, oraz kilka publicznych wieczorów dyskusyjnych. Na ostatnim z tych wieczorów odczytano uchwały Rady Głównej Polskiego Zjednoczenia Postępowego.

Pan N. mylnie — zaznaczam to nawiasem — twierdzi, że były to wnioski, uchwalone na zebraniu dyskusyjnym. Uchwalanie wniosków na zebraniu, w którym brały udział w charakterze zaproszonych gości osoby do stronnictwa nie należące, jak np. p. Kempner, p. Grosser lub p. Niemojewski, było niemożebnym.

Uchwały te, stojące na gruncie zupełnego równouprawnienia współobywateli żydów w prawie publicznym, wskazywały, że faktyczne równouprawnienie w życiu prywatnym i społecznym żydzi osiągnąć mogą przez asymilację polityczną i kulturalną; nawoływały do podnoszenia kultury polskiej, by wzmocnić jej sprawność asymilacyjną; do zwalczania grup żydowskich, głoszących zasady egoizmu narodowego żydowskiego, obojętności lub przeciwstawienia się interesom narodu polskiego i do zwalczania ciemnoty i klerykalizmu żydowskiego.

Uchwały te, o ile wśród nacjonalistów polskich i żydowskich i wśród kosmopolitycznych publicystów żydowskich skrajnej lewicy wywołały mocne niezadowolenie, o tyle nietylko do żadnych rozdźwięków w Polskim Zjednoczeniu Postępowym nie doprowadziły, ale spotkały się z uznaniem wśród całej postępowej części społeczeństwa polskiego i żydowskiego.

P. Niemojewski, któremu, według sprawozdania *Prawdy* (Nr. 15 z r. z.) przewodniczący udzielił głosu na ostatku, wyraził wówczas poglądy bardzo trafne i zgodne z humanitarnymi zasadami demokracji polskiej. Zaznaczając, że świadoma, celowa i rozumna krytyka semityzmu jest najlepszą bronią przeciw antysemitom, że wolni myśliciele polscy i żydowscy muszą zadawać niekiedy rany bolesne, ale zbawcze, że ruch wolnomyślny wśród żydów oddałby ogromne usługi Polsce a sprawę asymilacji popchnąłby naprzód potężnie, p. Niemojewski stanął nie na gruncie egoizmu narodowego i nienawiści względem żydów, lecz na stanowisku humanitarnego demokraty, który zadając masie żydowskiej leczący ból przez krytykę jej wad i przesądów, ma na celu jej uzdrowienie—uobywatelenie polskie, widząc w tym korzyść własnego narodu i interes masy żydowskiej.

Na platformie Polskiego Zjednoczenia Postępowego bez jakichkolwiek wspólnych narad, jeżeli nie liczyć dorywczych rozmów pojedynczych członków Zjednoczenia Postępowego z redakcjami pism postępowych, stanęły oprócz *Prawdy* — *Kurjer Poranny* i *Myśl Niepodległa*.

Informacje p. N. co do mniemanego rozdźwięku w tej kwestji między mną a ogółem członków Polskiego Zjednoczenia Postępowego są całkowicie mylne. Zapoczątkowaniu krytyki w sprawie żydowskiej ale krytyki celowej, rozumnej, kulturalnej nigdy nie byłem i nie jestem przeciwny. Bezkrytyczny filosemityzm uważałem zawsze i uważam za szkodliwy i dla narodu naszego i dla naszych współobywateli żydów.

Upłynęło pół roku. We wrześniu p. Niemojewski, uwikławszy się w polemikę z „młotowcami", wystąpił z artykułami, które już nie były krytyką pewnych grup żydowskich, czy wad żydowskich, lecz potępieniem w całości wszystkich żydów (z wyjątkiem nielicznych jednostek). W artykułach tych p. N. stanął nie na gruncie asymilacji, lecz wyobcowania raczej żydów z narodu polskiego; zamiast rozumnej celowej krytyki, zmieszał niemal z błotem takich żydów-polaków, którzy bez wątpienia w wielu wypadkach bez zarzutu nie są, ale na tego rodzaju operację nie zasłużyli...

Uważając, że takie postawienie kwestji daleko odbiega od uchwał Polskiego Zjednoczenia Postępowego, że podstawą jego jest raczej zwykły, oparty na nienawiści antysemityzm, niż „zadawanie ran współ-obywatelom przez chirurga, by ich uleczyć", jak się kiedyś wyraził sam p. Niemojewski, kilku członków Zarządu Polskiego Zjednoczenia Postępowego (a w tej liczbie i ja) zwróciło się do p. Niemojewskiego i p. Moszczeńskiej, by cofnęli się z pochyłości, wiodącej ku antysemityzmowi. Napróżno jednak staraliśmy się wytłumaczyć p. Niemojewskiemu, że akcja jego jest pożądaną jedynie dla nacjonalistów żydowskich, a szkodliwą dla interesów narodowych polskich, że metody „niekulturalne" (a za takie uznał je sam p. Niemojewski w Nr. 149 swego organu) — celu nie osiągną, że znajdą poklask wśród kołtunerji nacjonalistycznej, a spotkają się z potępieniem nietylko wśród prasy postępowej, ale nawet ze strony oświeconych i kulturalnych konserwatystów. Należy bowiem pamiętać, że nawet zdecydowany wróg żydów, dążący do zupełnego odseparowania od nich społeczeństwa polskiego, p. Kazimierz Rakowski, stanął jednak w *Nowym Sztandarze* na gruncie walki kulturalnej i umiał uszanować godność osobistą żydów, jako ludzi.

Napróżno tłumaczyliśmy, że traktowanie narówni z niektórymi zwyrodniałymi „młotowcami" działaczy, którzy zajęli poważne stanowisko w publicystyce lub nauce polskiej, wywrze skutek wprost przeciwny zamierzonemu, że utrudni skonsolidowanie się w społeczeństwie żydowskim postępowej grupy żydów patrjotów polskich, gotowych stanąć do walki z nacjonalizmem i klerykalizmem żydowskim.

P. Niemojewski i p. Moszczeńska oprócz motywów, które później wyłuszczyli w *Myśli Niepodległej* i broszurze p. M. (p. t. Postęp na rozdrożu) powoływali się na ten argument, że idąc drogą przez nich wskazaną, postęp polski stałby się siłą polityczną pierwszorzędną wskutek masowego napływu t. zw. frondy narodowo-demokratycznej, że zyskałby w ten sposób mocne oparcie i popularność w społeczeństwie polskim. Było to przecenienie sił, liczebności i ideologji t. zw. „frondy". Jeżeli narodowa demokracja się niemal rozpadła, to jej „fronda" stała się wprost bezładną kupą. Wciągnięcie jej masowe do organizacji stronnictwa postępowego nadałoby mu charakter li tylko uczciwej ideowo narodowej-demokracji.

Ani Pol. Zjednoczenie Postępowe, ani *Prawda*, ani żaden organ postępowy, drogą na którą wkroczył p. Niemojewski, pójść nie mogły nie sprzeniewierzając się zasadniczym ideałom i programom polskiej demokracji, p. Niemojewski i p. Moszczeńska pozostali pod tym względem w *splendid isolation* wśród obozu postępowego, zyskali natomiast gorący poklask w obozie *Gazety Warszawskiej*, która jednak słusznie zauważyła, że wnioski, do których doszli p. N. i p. M. wyprowadzić się dadzą nie z przesłanek postępowych lecz z założeń narodowo-demokratycznych.

Nieprawdą jest to, co twierdzi p. Niemojewski w ostatnim numerze owego organu, że członkowie Zarządu P. Z. P. musieli narzucać swoje poglądy ogółowi członków, że nastąpiło wskutek tego masowe wykreślenie się członków. Szkoda ograniczyła się do usunięcia się dwóch czy trzech osób związanych osobistą przyjaźnią z p. Moszczeńską. — Ogół zaś zupełnie zsolidaryzował się z Radą Główną. Pan Niemojewski przyznaje, że antysemici postępowi nie stanowią „grupy", lecz pociesza się tym, że stanowią oni „ogromną masę". Jest to złudzenie, jeżeli chodzi o postępowców. Masę stanowią nie „antysemici postępowi" lecz antysemici różnych obrządków od nacjonalistycznego do klerykalnego. By jednak się chcieli zgrupować około p. Niemojewskiego, musiał by on odwołać wszystkie błędy postępowe i odbyć za nie pokutę. Dowodem słabości tego ruchu jest i to, że broszura p. Moszczeńskiej rozeszła się bardzo słabo, pomimo że kupowali ją i przeciwnicy i obojętni i konserwatyści.

P. Niemojewski, będąc organicznie niezdatnym do zorganizowania bodaj trzech ludzi, oddaje się złudzeniu, że za nim stoją nieprzebrane tłumy. Gdyby nawet liczba prenumeratorów *Myśli Niepodległej* była dziesięćkrotnie wyższą, nie dowodziłoby to niczego. W społeczeństwie jest dość silny prąd krytyki religijnej. Potrzebuje on wyłącznego organu i *Myśl Niepodległa* może mieć i ma czytelników nie ze względu, lecz pomimo swego „antysemityzmu postępowego".

Gdyby nie kampanja *Nowej Gazety*, która przeceniła wpływ i znaczenie „antysemitów postępowych" i wzięła zbyt tragicznie wystąpienie p. Andrzeja Niemojewskiego — incydent z „antysemityzmem postępowym" byłby dawno wyczerpany.

Niefortunnymi były zwłaszcza usiłowania *Nowej Gazety* zaliczenia *Kurjera Porannego* do antysemickiego obozu, pomimo, że *Kurjer Poranny* nigdy na stanowisku antysemickim nie stał; — zawsze najenergiczniej popierał ruch wolnościowy i demokratyczny. W *Kurjerze Porannym* nawet w artykułach p. Moszczeńskiej, oprócz dwóch, trzech zwrotów, niezauważonych przez ołówek redaktorski, antysemityzmu dopatrzeć się trudno.

Obecnie czyni podobne usiłowania i p. Niemojewski, starając się wmówić w publiczność, że bynajmniej izolowanym nie jest i daje do zrozumienia, że *Kur. Poranny* jest blizkim jego skrajnym wystąpieniom w sprawie żydowskiej, co zupełnie przeczy rzeczywistości. *Kurjer Poranny*, jako pismo szczerze postępowe i demokratyczne bardzo energicznie zwalczając uwstecznienia i skamieniałości kultury polskiej, nie uznaje żadnego „tabu" w obyczajowym ustroju i religijnym obskurantyzmie społeczeństwa żydowskiego, zwalcza nacjonalizm żydowski, ale nigdy nie zeszedł ze stanowiska równouprawnienia obywatelskiego ludności żydowskiej i oświadczył się bardzo energicznie za równouprawnieniem żydów w samorządzie.

Na wycieczki osobiste, których p. N. nie szczędzi mnie i p. Józefowi Jabłońskiemu — odpowiadać nie będę. Nadużywanie bowiem tej papryki przez p. Niemojewskiego jak i przez pokrewnego mu duchem p. L. Belmonta sprawiło, że wystąpień tego rodzaju obu utalentowanych publicystów nikt na serjo nie bierze.

Wacław Łypacewicz.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Pod nagłówkiem „*Rzecz niezrozumiała*" pisze krakowski korespondent *Gońca*:

> Jak wiadomo, senat uniwersytetu Jagiellońskiego obiecał młodzieży złagodzić kary, jeżeli rekursy, wniesione do ministerjum oświaty, zostaną cofnięte. Akademicy Heltman i Jemielewski cofnęli rekursy i wzamian za to istotnie senat cofnął ich relegację. Wówczas, wierząc słowom profesorskim, wszyscy akademicy, którzy otrzymali consilium abeundi, w liczbie 146, cofnęli rekursy. W tych dniach został cofnięty ostatni rekurs: mianowicie rygorozant Baścik, któremu senat zabronił zdawania dwuch ostatnich rygorozów medycznych na uniwersytecie krakowskim, cofnął rekurs, otrzymawszy zapewnienie, że senat pozwoli mu zdawać rygoroza w Krakowie.
>
> Tymczasem co się stało?
>
> Oto przy wpisach na letnie półrocze dziekani nie przyjmują wpisów całego szeregu akademików, którzy otrzymali consilium abeundi.
>
> A więc zamiast przyrzeczonego złagodzenia kary w zamian za cofnięcie rekursów — nastąpiło zaostrzenie ich kar z chwilą, gdy przez cofnięcie rekursów stali się bezbronni.
>
> Dotąd wiadomo 9 nazwisk akademików, których to spotkało: Paweł Kittay, Groele, Wasserberg, Bujwidówna, Sarnek, Kuźniar, Leszczyński i Przybylski.
>
> Akademikom tym dziekani oświadczyli, że wpisów ich krzyjąć nie mogą, gdyż toczy się przeciw nim śledztwo dyscyplinarne, że dopiero z końcem kwietnia otrzymają odpowiedź, czy zostaną przyjęci na uniwersytet, czy nie.
>
> Nie możemy uwierzyć, żeby senat akademicki Uniwersytetu Jagiellońskiego był zdolny do takiej perfidji: wyłudzić cofnięcie rekursów obietnicą załagodzenia sprawy, a potym pod pozorem jakiejś formalności zaostrzyć bezbronnym karę z nagany na relegację!
>
> Musi tu być jakieś nieporozumienie, którego rychłe wyjaśnienie jest pożądane.

Epilog zajść krakowskich układa się w sposób, zagrażający dobrej sławie Wszechnicy, bowiem Senat najwidoczniej nie chce czy nie może dotrzymać zaciągniętych względem młodzieży zobowiązań. Łatwo przewidzieć, jakie ztąd wynikną skutki, ile napiętrzy się słusznego żalu, rozgoryczenia i niechęci ze strony studentów, których zaufania nadużyto w sposób niegodny... W najlepszym dla senatu wypadku przypuszczać można, że represji użyto wskutek bezpośrednich nalegań wiedeńskiego ministerjum oświaty, będącego pod wpływem klerykałów niemieckich i polskich; lecz w takim razie powinien cały senat podać się raczej do dymisji, niźli łamać dane przyrzeczenie i narażać na szwank powagę moralną Wszechnicy.

* Wolne i zjednoczone Włochy święcą jubileusz półwiekowego swego istnienia.. Echa tych uroczystości, dochodząc do naszego kraju, uderzają w intymne struny pokrewnych umiłowań i najdroższych, najchlubniejszych wspomnień; jeśli szczere serca polskie drgają *unisono* z dźwiękiem hymnu Garibaldich i Mazzinich, zato w rzymsko katolickich duszach zupełnie inne budzą się uczucia, wykazując raz jeszcze gruntowny rozdźwięk watykanizmu i polskości.

Dziennik Powszechny, formułując stan ducha ultramontański, w te przemówił słowa:

> Uczestniczenie w obchodach, przygotowywanych w Rzymie nie tyle z radością patryotyczną, ile z zawziętością antyreligijną przez wrogów papiestwa i katolicyzmu, byłoby dla nas niczem innem, niż aktem odstępstwa. To też jesteśmy silnie przekonani, że pomimo zachęcających nawoływań pseudo-katolickich gazet ani jeden szczerze wierzący a rozumnie uświadomiony katolik na tegoroczną wystawę rzymską nie pojedzie.

Miano „gazety pseudo-katolickiej" dostało się tym razem *Kurjerowi Warszawskiemu* za niedawno rzucony bluźnierczy i antypapieski okrzyk zapału: *Evviva l'Italia una, indipendente, libera!...*

Bardzo muszą stać „nizko" walory nadkatolickie, skoro przezorny organ pani Lewentalowej, zamiast pośpiesznej skruchy, takie czyni rewelacje piórem rzymskiego swego korespondenta:

> Nic łatwiejszego, co prawda, jak zostać dziś pomówionym o herezję przez pewnych ortodoksyjnie-reakcyjnych radykałów, bardziej katolickich od papieża i bardziej inkwizytorskich od wszelkich inkwizycji. Jest to dość powszechny, krańcowy objaw wzmożonej ostatnimi czasy (szczególnie od czasu encykliki przeciw modernizmowi) zachowawczej reakcji w kościele. Nadmiar żarliwości wtłoczony w ciasne ramy jakiejś bezmyślnej „myśli katolickiej", czasem służący tylko za środek katolickiej karjery — oto główny czynnik krańcowych w tym kierunku zapędów. Jakaś klika, czy kliczka skupia się dokoła marnej jakiejś gazetki o barwie ultrareakcyjnej i — hejże na heretyków na modernistów! — dalejże ich tropić i wyszukiwać na wszelkich poziomach działalności katolickiej, często na najwyższych nawet poziomach urzędu kościelnego. Nic zwyczajniejszego obecnie ze strony tych żarliwców reakcji jak oskarżenie o masonizm, czy o modernizm tego lub owego prałata, biskupa, nawet kardynała.

Gdy tak w zatęchłych naszych zaściankach zrywają się lekkie jakieś powiewy i poszumy wolnomyślnego modernizmu, jednocześnie w czeluściach poblizkiego *ghetta* rozlega się nieśmiały głos protestu przeciw różnym jehowistycznym obłąkańcom, którzy są przekleństwem i plagą żydowstwa.

Nawet organ żargonowy *Unser Leben* — jak donosi *Izraelita* — wystąpił przeciw haniebnym uchwałom rabinów anglo-amerykańskich, którzy rekrutują się przeważnie z *ghetta* rosyjskiego, jak i olbrzymia większość ich trzody; oto dosłowny komentarz pisma żargonowego (według *Izraelity*):

> Dwa lata temu zebrali się rabini z Polski w Warszawie i naradzali się, jak ocalić żydowskość. I na ul. Gnojnej pod Nr. 7 przyjęte zostały rezolucje, które dawni inkwizytorzy w Hiszpanji podpisaliby śmiało. Rok później odbył się zjazd rabinów we Francji; i tam żydowskość upada i trzeba ją ratować, więc uchwalono, aby kobiety doliczać do „dziesięciu" (niezbędnych, według rytuału, do nabożeństwa zbiorowego).
>
> Obecnie zaś miał miejsce zjazd rabinów w Anglji.

I tu bowiem jest to samo nieszczęście: z żydowskością krucho, niedobrze.

I znowu uchwalone zostały rezolucje...

Zakazać żydom uczęszczać do teatru i na bale, nie zezwalać, aby chłopcy obcowali z dziewczętami, baczyć na mykwy, rzucać klątwę (chejrem) na dzieci żydowskich rodziców, którzy nie wzięli ślubu pod baldachimem (chuppa) u rabina w kołpaku, nie dać młodzieży studjować (nauk świeckich), kobiety zmusić do noszenia peruk...

I żydowskość została ocalona.

I jeśli, moi kochani ludzie, nie wiedzieliście, co to żydowskość — to macie teraz czarno na białym: to jest judaizm...

A czymże jest judaizm? zapomniał spytać feljetonista żargonowy. Judaizm w tej formie, w jakiej go tu widzimy, jest pośmiewiskiem dla świata, nieszczęściem dla żydów, a z punktu widzenia współczesnej myśli religijnej — potwornością, która przechować się mogła tylko na dnie wschodniego bagniska, zkąd wypełzła dziś na zachód, jak dyluwialny jakiś Ichtjozauros...

* Jak już wiadomo ze sprawozdań, ze wszystkich oddziałów *Tow. Kultury Polskiej* najżywszą działalność rozwija V-ty, za co nagrodzono go aplauzem na walnym zebraniu delegatów. Lecz oddział V ma do czynienia u siebie z grupą zawodowych malkontentów, którzy, mszcząc się za opór stawiany ich ciasno — stronniczym zachciankom, takie na łamach *Naszej Sprawy* wytaczają zarzuty:

Pomimo widocznych usiłowań zarządu załatwienia się z zebraniem ogólnym dobrym starym obyczajem, polegającym na tym, że się odczytuje sprawozdanie, zgromadzeni uchwalają, oczywiście bez dyskusji, podziękowanie za szlachetną i t. d. działalność pp. członków zarządu i idą spać,— i tu dało się we znaki powszechne *budzenie się ducha w masie.* Członkowie robotnicy zabierali głos, krytykując ostro działalność zarządu. Nie pomogło ani to, że sprawozdanie za rok ubiegły rozdano dopiero na samym zebraniu, *aby utrudnić orjentację*, nie pomogły próby *zajęcia domniemanych oponentów* przyjacielską, chwytającą za serce rozmową na boku.

Najgorętsza dyskusja rozwinęła się nad sprawą urządzanych przez oddział odczytów.

Robotnicy krytykowali ostro *dobór prelegientów*, staranne *unikanie tych tematów, które najbardziej interesują masy*, dawanie odczytom *nic nie mówiących* lub zgoła *niezrozumiałych* dla masy *nagłówków* i t. d., i t d. Cała działalność zarządu i komisji oświatowej robi wrażenie, *jakgdyby chodziło tylko o to, aby czymkolwiek zająć czas i uwagę* żądnych rozwoju świadomości swej robotników.

Wogóle widać było, że zarząd, komisja oświatowa i znaczna część pp. prelegientów zapatruje się na całą działalność oddziału, jako na „trzymanie ręki na pulsie świadomszych robotników“ i *środek prowadzenia ich na pasku* Ale *pasek z rąk wymykać się poczyna*, robotnicy zdają sobie sprawę z tego, że ręka, która dziś dłoń im ściska, jutro *za gardziel może zdusić*, i *mydłkowaniu* bawiących się w oświatę *dobroczyńców* przeciwstawiają jasno i dobitnie żądanie: dajcie nam taką oświatę, *jakiej nam potrzeba.*

Pod sam koniec zebrania postawiony został wniosek dania delegatom, wybranym za zjazd, dyrektywy, aby tam przeprowadzić urządzanie co pewien czas, w soboty, odczytów dla proletarjatu żydowskiego, nie rozumiejącego po polsku, w żargonie. Tu nietylko zarząd, ale i niektóre jednostki z pośród robotników *nie stanęły na wysokości zadania* i oponowały przeciwko temu, *bo to jest przecie Kultura „polska“*. (Podkr. nasze).

Przytoczony tutaj wyimek służyć może jako typowy pokaz psychicznych i umysłowych zboczeń, pod wpływem ciasnej i skrajnej doktryny. A więc obelgi i potwarze, miotane na pionierów kultury, to ma być „budzenie się ducha w masie”! A więc zarządowi V-go oddziału „chodzi tylko o to aby czymkolwiek zająć czas i uwagę robotników”, a słowo *oświata* kryje jakąś burżuazyjną intrygę, bo „ręka która dziś dłoń ściska” jutro „za gardziel może zdusić”... Cóż to za „robotnik” pisał te zjadliwe brednie, dodając ironicznie „bo to jest przecie Kultura *„polska”* — by podkreślić w cudzysłowach swą względem niej obcość i nienawiść!...

Nie wiemy, jak zareaguje zarząd V-go oddziału na przyczepione doń miano „mydłkujących dobroczyńców”; co do nas, jesteśmy zdania, że akcja pp. nieprzejednańców w *Tow. Kultury Polskiej* przechodzi w chorobliwą manię i bezmyślne szkodnictwo.

KRONIKA.

TOWARZYSTWO KULTURY POLSKIEJ. Ogólne zebranie członków Towarzystwa Kultury Polskiej, zapisanych przy zarządzie głównym, odbyło się w sobotę w lokalu własnym Towarzystwa, przy udziale około 200 osób.

Po zagajeniu obrad przez d-ra Męczkowskiego, w zastępstwie nieobecnego prezesa, Aleksandra Świętochowskiego, zaproszono na przewodniczącego adw. Łypacewicza, który powołał do stołu prezydjalnego na sekretarza p. Zubowicza, a na asesorów pp. Orłowskiego i Mirawskiego oraz panie: Lindenbergową i Przyjemską.

Odczytane przez p. Osieckiego sprawozdanie kasowe wykazuje, że w ciągu roku sprawozdawczego do Towarzystwa wpłynęło 6,876 rb., wydatkowano zaś 3,957 rb., na rok więc 1911 pozostało 2,913 rb. Bilans zamknięto sumą 16,465 rb. 64 kop.

Sprawozdanie kasowe oraz komisji rewizyjnej, odczytane przez red. Stanisława Kempnera, zebranie zatwierdziło bez dyskusji.

Następnie p. d-r Tomaszewicz-Dobrska odczytała sprawozdanie zarządu z działalności Towarzystwa za rok 1910. Ze sprawozdania tego czerpiemy ważniejsze dane: obecnie Towarzystwo Kultury Polskiej liczy około 5,000 członków, w grupach po 30—40, w 34 oddziałach na prowincji; po 50—513 w 7 oddziałach warszawskich i 1,167 zapisanych przy zarządzie głównym. W tej liczbie jest 1,124 czynnych i 43 popierających członków. W ciągu roku przybyło nowych członków 248, ubyło — 540, zalega w opłacie 87.

Nowych oddziałów otworzono w Warszawie 2, na prowincji 3.

W końcu posiedzenia dokonano wyborów na ogólne zebranie delegatów oddziałów Towarzystwa, które odbyło się w piątek.

Ogólne zebranie delegatów oddziałów prowincjonalnych i warszawskich Towarzystwa Kultury Polskiej, przy udziale 117 osób, obradowało w lokalu własnym Towarzystwa, przez dzień cały od 11 do 8 wiecz., z przerwą godzinną, w niedzielę d. 26 marca.

Po zagajeniu obrad przez prezesa, Aleksandra Świętochowskiego, na przewodniczącego powołano p. Burczyńskiego z Sosnowca. Jako asesorowie zasiedli do stołu prezydjalnego pp. Mogilnicki z Łodzi, Sitkowski z Radzynia, Mikulski z Garwolina, Szpądrowski z Pułtuska oraz p. Rotwandowa i prof. Krzywicki z Warszawy. Sekretarzował d-r Maksymiljan Kraushar.

Delegat z Ciechanowa, p. Dobrzycki poruszył sprawę związków zawodowych, których organizacją miało w swoim czasie zająć się Towarzystwo Kultury Polskiej. Wyjaśnień udzielał p. Osiecki, oświadczywszy, że wobec niemożności legalizowania związków zawodowych, czynności w tym kierunku przedsiębrane, zostały zamknięte.

Dr Kraushar zgłosił wniosek, aby wszyscy członkowie Towarzystwa, nie prenumerujący dotychczas miesięcznika *Kultura Polska*, przystąpili do prenumeraty, przyczyniając się tym sposobem do rozwoju i rozpowszechnienia pisma.

W związku z powyższym oświadczeniem p. Dobrzycki z Ciechanowa zgłosił interpelację w sprawie nieodpowiedniego kierunku miesięcznika, który rzekomo nic zaj-

muje się sprawami robotniczymi, a jest przeznaczony jedynie dla sfer wybranych.

W odpowiedzi interpelantowi, którego poparła nieliczna grupa delegatów robotniczych z kilku oddziałów, głos zabrał Aleksander Świętochowski, wyjaśniając, że *Kultura Polska* odpowiednio do rozmiarów i możności sprawami robotniczymi się zajmuje; na dowód zaś mówca odczytał kilka wyjątków z miesięcznika, oświetlających potrzeby i sprawy robotnicze. Zarzuty więc, stawiane przez interpelanta, są zgoła nieuzasadnione.

Rozpoczynając obrady popołudniowe, d-r Tomaszewicz-Dobrska odczytała rzeczowe sprawozdanie z działalności Towarzystwa za rok 1910,

Sprawozdanie przyjęto oklaskiem i na wniosek przewodniczącego wyrażono zarządowi podziękowanie i uznanie za jego sumienną i owocną pracę w tak uciążliwych warunkach.

Następnie p. Dobrska odczytała, ujęte w całokształt jednego referatu, sprawozdanie z 25 oddziałów prowincjonalnych. Pozostałe 9 nie nadesłało w swoim czasie sprawozdań, przeto nie umieszczone zostały w referacie.

Dane ogólne, dotyczące działalności w owych 25 oddziałach, w okresie roku 1910, przedstawiają się następująco: najmniej liczne, posiadające do 50 członków, są oddziały w Szadku, Rawie, Wąchocku, Opolu, Skierniewicach, Kielcach i Łomży. Od 50—100 członków posiadają oddziały w Siedlcach, Zawierciu, Radzyniu, Skarżysku, Nowym Brudnie, Pułtusku, Piotrkowie, Jeziornie, Ciechanowie i na Pelcowiźnie; od 100—140 w Płocku, Radomiu, Żyrardowie, Sosnowcu i Łodzi.

Widzimy więc, że oddziały prowincjonalne Towarzystwa w tych sferach właśnie najżywszy znajdują oddźwięk, natomiast tak zwane klasy uprzywilejowane odsuwają się od pracy w oddziałach, nie sympatyzując z ich kierunkiem.

Sprawozdanie z oddziałów prowincjonalnych i warszawskich przyjęto, V-mu zaś oddziałowi, na wniosek Świętochowskiego, wyrażono uznanie za niezmiernie intensywną pracę w kierunku oświatowym i popularyzacji wiedzy.

Aleksander Świętochowski zgłosił wniosek, aby główny zarząd zajął się wspieraniem materjalnym tych oddziałów, które tego najbardziej potrzebują, a które mogłyby z łatwością przy odpowiednich funduszach, owe zamierzenia kulturalne wypełniać.

Do tych oddziałów należą przedewszystkim: VI warszawski, istniejący na Pradze, oraz Sosnowiec i Zawiercie.

Dokonane wybory do zarządu dały wynik następujący, d-r Męczkowski, d-r Anna Tomaszewicz-Dobrska i Janina Bemówna, wszyscy ponownie, oraz p. Lucjan Orłowski. Do komisji rewizyjnej pp.: Tadeusz Balicki, Stanisław Kempner, Wacław Łypacewicz, Izydor Mayzner i Kazimierz Życki.

W końcu posiedzenia na wniosek przewodniczącego, zjazd wyraził Świętochowskiemu gorące słowa uznania za jego niezmordowaną pracę na niwie kultury. Wyrazem hołdu, czci i wdzięczności ze strony delegatów dla Świętochowskiego były gorące i serdeczne oklaski, jakimi wniosek przewodniczącego przyjęto.

BIBLJOTEKA PUBLICZNA W WARSZAWIE. W ubiegłym tygodniu w lokalu własnym (Rysia Nr. 1) odbyło się doroczne zebranie ogólne członków Towarzystwa „Bibljoteka publiczna w Warszawie".

Zebranie zagaił prezes zarządu, prof. S. Dickstein, poczym na przewodniczącego powołano prof. Aleksandra Jabłonowskiego, który ze swej strony zaprosił na sekretarza p. Stanisława Walewskiego, a na asesorów pp.: Józefa Jerzego Boguskiego, Eugenję Mierzejewską oraz Gabryela Centnerszwera.

Po ukonstytuowaniu się prezydjum i odczytaniu protokułu zeszłorocznego zebrania, zabrał głos prof. S. Dickstein, który w gorących słowach wykazał znaczenie doniosłe i potrzebę takiej instytucji, jak bibljoteka publiczna, oraz podkreślił te postępy, jakie bibljoteka publiczna na drodze swego rozwoju poczyniła.

Następnie sekretarz bibljoteki, p. Wiktor Bułakowski, odczytał sprawozdanie z działalności bibljoteki za 1910 r.

Działalność tej cichej, unikającej wszelkiej reklamy, a niezmiernie pożytecznej instytucji przedstawia się, jak stwierdza sprawozdanie zarządu, w następujący sposób:

W ostatnim dniu grudnia r. z. bibljoteka posiadała 57,495 tomów. W ciągu roku sprawozdawczego do bibljoteki wpłynęło ogółem 12,789 tomów, w tym z darowizn 12,511 tom., a z zakupów 278. Jako darowizny, bibljoteka otrzymała od instytucji, redakcji i stowarzyszeń 588 tomów, od księgarzy i wydawców—374, wreszcie od osób prywatnych w całkowitych księgozbiorach — 9,373 i w ofiarach doraźnych 2,176 tom. W księgozbiorach całkowitych bibljoteka, pomiędzy innymi, otrzymała księgozbiory: Ignacego Bernsteina (1,184 tomów), Józefa Dregego (462 t.), M. Heilperna (567 t.), rodziny Hofmanów (409 t.), W. Mańkowskiego (957 t.), L. Mateckiego (540 t.), St. Mieczyńskiego (639 t.), J. Sikorskiej (1,574 tom.) i t. d.; prócz tego zmarły Zygmunt Gloger zapisał bibljotece cały księgozbiór, znajdujący się w t. zw. „Muzeum w Jeżewie" a p. Z. Wolski ofiarował cały swój księgozbiór wraz ze zbiorem autografów, opraw, ex-librisów, okazów druków i dokumentów, wreszcie bibljoteka z funduszów swych zakupiła księgozbiór pp. Choromańskich, złożony z 134 tomów. W 1910 r. z liczby napływających książek rozsegregowano 7,583 dzieła w 10,537 tomach, z których zakatalogowano na powiększenie księgozbioru 5,683 dzieła w 7,687 tomach, oraz wyłączono dubletów 1,900 dzieł w 2,850 tomach. Ogółem zakatalogowanych dzieł było 32,485 w 41,566-ciu tomach, z czego bibljotece głównej 26,199 dzieł w 33,428 tomach, w bibjotece podręcznej 103 dzieła w 556 tomach, w dziale czasopism — 300 tytułów w 1,995 rocznikach, w czytelni naukowej 6,180 dzieł w 7,582 tomach oraz w zbiorach Szkoły Głównej 614. Z ogólnej liczby 32,485 w bibljotece znajdowało się dzieł polskich 15,104, rosyjskich 2,339, niemieckich 3,831, francuskich 3,645, angielskich 592, łacińskich 354, włoskich 189 oraz innych 145. Pod względem treści, w bibljotece było dzieł ogólnych—422, z dziedziny filozofji — 1676, religji 801, socjologji 6,329, filologji 475, nauk przyrodniczych i matematyki 4,058, nauk stosowanych 2,710, sztuk pięknych 432, literatury 5,501 oraz historji i geografji — 3,234. W 1910 r. liczba zgłoszeń powiększyła się o 2,386 i wynosiła 31,230, z czego w czytelni naukowej 6,057. Z wyłączonych 1900 dzieł wysłano do innych bibljotek 924.

Zebrani, wysłuchawszy sprawozdania, zatwierdzili je bez dyskusji. Zatwierdzono również i budżet, przewidujący niedobór 4,670 r. przy wydatkach 12,400 rb. Zarząd budżet swój ułożył z wielką oględnością, wątpić jednak nie można, że społeczeństwo, wzorem lat poprzednich, przyjdzie instytucji z pomocą i nie pozwoli jej na zamknięcie swych rachunków niedoborem.

Wreszcie ogłoszono wynik dokonanych na zebraniu wyborów, przyczym do zarządu ponownie wybrano pp.: prof. S. Dicksteina oraz St. Leszczyńskiego, a do komisji rewizyjnej pp.: Aleks. Czajewicza, St. Walewskiego i St. Najmana.

Książki nadesłane do Redakcji:

Jerzy Kurnatowski: „Robotnicze związki narodowe". Praktyka i teorja. Warszawa, 1911, str. 220.

Jerzy Kurnatowski: „Kooperatywa i kooperatyzm". Warszawa, 1911, str. 42.

Bohowityn: „Kobieta z przeszłością", powieść, 1911. Nakł. Gebethnera i Wolfa, str. 336.

Edward Słoński: „Partja", romans rewolucyjny. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Sp. 1911, 8-ka, str. 316. Cena rb. 1,50.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.